

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok II.

Łódź, niedziela 9 grudnia 1945 r.

Nr. 19 (26)

TADEUSZ PAPIER

Krzyże Janiny

„Krzyże Janiny” przedstawiają dzieje wsi Janiny, należącej do gminy Szczytniki, powiatu stopnickiego, w latach 1943—1944. Podane nazwiska i fakty są autentyczne.

Zamiarem autora było dać wierną kronikę zbrodni okupanta w jednej wsi — wsi wziętej do opisu bez wyboru. Tę autor znał, o tej dlatego pisze. Ale wsi takich w Polsce w owych strasznych latach było tysiące.

Ten jeden opis, tysiące razy powtórzony — oto będzie obraz męczeństwa chłop polskiego i jednej z największych zbrodni niemieckich.

Redakcja

O ROKU ÓW

Dom stoi na ustroni, przy lesie. W małej izbie, przy świetle naftowego kaganka czyta Stanisław Rusiecki. Chłopi nie patrzą na siebie. Sochy, Ziomek, Treć, Piasecki spod Chelnicy, dwóch Brewińskich, Kumór, Sieradzki, Wróbel. Twarze ostre, pobródzone, ginące w dymie. Spod lampy dochodzi głos: — „wolna już jest cała Afryka i południowe Włochy. Tocz się ciężkie boje we Włoszech. Na wschodzie Rosjanie oczyszczają zadnieprze, zdobywają Białoruś i Ukrainę. Wyzwolenie już coraz bliżej...” — „Psia-krew” — przerywa Sieradzki, „wyzwolenie pięć lat już przychodzi, Afryka jest wolna, a nas tu rżną jak baranów, w domu nie śpij, nie jedz, nie pracuj, bo doczekasz się drugiego Szydlowa. Wrzucą cię jak kaczorowski do ognia, zastrzelą jak psów, jak Dyka Kowalika, Szydlów bandit, Szydlów komuną, cholery!” — „A tam się w przyczółki bawią, zmiany rządów, stosunki zrywają z Rosją, kiedy Rosja bije Niemców, usrać się z taką polityką”. Siwy Brewiński podnosi się z ławy: — „ale, kiedy my gadamy, całe Szczytniki pod bronią w lesie stoją”. — „I co i rżną się na Niemców, Niemcy swoje zrobili, w Szydlowie 11 trupów na rynku”. — „Słuchajcie” — Rusiecki schował w zanadrze gazetkę — „Szczytniki szły na Szydlów, choć były za słabe, żeby wdać się w walkę. Ale broń powyciągali i już im nie chodzi o to, jaką nagrodę otrzymają, czy kule, czy krzyże, czy ziemią ich przysypią, czy chałupy popalą. Bronić się trzeba!” — „Zawczasie jeszcze” — stary Łaciki „stryj” spod Dębiny wkłada czapkę na głowę, „pójdziemy już, jednaki los zresztą dla tych co broń powyciągali jak i dla tych co jej nie mają. Ja nie mam i tyż muszę z domu uchodzić jak i twój syn”. Chłopi wstają i pojedynczo po dwóch wsiakają w ciemność. „Odprowadzę cię Stasiu”, mówi Jan do dziewczyny i patrzy na jej jasne włosy.

RANEK POŁETKA

Słońce wschodzi nad Kołaczkowicami. Poletkowi spogląda w to czerwone wielkie słońce i mówi — pogoda — potem otwiera chlewik i wypuszcza kury. Zagląda do krów, do świń. Wszystko w porządku. Ze stajni bucha przyjemnie krowie ciepło. — „Dzieci wstawajcie” — woła w otwór powały. Za chwilę idzie z synami do domu. Ojciec jeszcze leży, dziewczęta zaczynają robić ranny porządek. Za oknami słychać tupot butów, matka spojrziała, „Matko Boska, Niemcy!” — „Dzieci chowajcie się, łapanka” — woła ojciec. Zandarmi wchodzą, kiedy syn był już na drabinie: POŁETEK JAN, agronom — ja, wstawać, ubierać się. Za chwilę płacz i krzyki, dzieci już się nie chowają, dom jest obstawiony zandarmami. „Przedziej, przedziej”, matka wjeżdża się ojcowi na szyję, mała Natka całuje go po rękach, żołnierz uderza kolbą Jana Poletka. Otoczony bagnietami idzie na punkt zborny w Janinie. Już czekają na niego Janeczek Jan, Wojtacha Władysław, Piasecki Andrzej, Graca Stefan, ks. Pankowski Marian. Ludzie patrzą z zapiekłymi gardłami na odjazd aresztowanych. Poletkowi krzyczy — „dlaczego nie wyjrzałam na drogę” — „Mamusiu uspokój się” — mówi Milla.

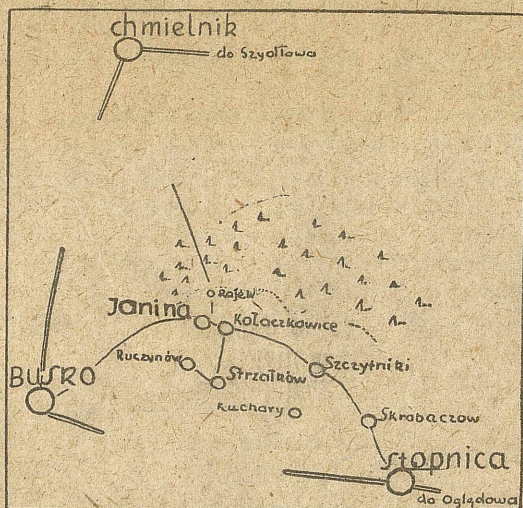
ODWET

Nad ranem samochody jadą przez Janinę. Jeden, drugi, trzeci. Zdral budzi się — staną, nie, jadą dalej ku Kołaczkowicom. Słabe światło powoli niknie.

Ulga, straszna ulga. Już wieś się budzi, alarm, młodzi chłopci chytkiem uciekają w stronę Rajku, do lasu. Samochody jadą do Szczytnik. Dwustu Niemców otacza wieś, rewizja w każdym domu. To już nie łapanka to śmierć. Za chwilę pali się dom Maślanki, dwa strzały i nie żyje Antoni Walasek i Władysław Czechowski. Zandarmi wygłaszają chłopom — „banditen, alle banditen. — tyś był pod Szydlowem, co!” — Chłop patrzy nieruchomo w oczy volksdeutscha, nieogolona twarz, wyrwana nóg ze snu, jest blada, bezradna. Samochody wiozą aresztowanych, Zbity, skuty Józef Walas pojedzie do Oswiecimia.

LISTY

30 maj. Poczta przynosi pierwszy list. Czy błądzą po niemieckich i angielskich — kto wie, ale to pismo? Tylko na końcu podpis, znany, kochany pod-



Mapka okolic Janiny

ZYGMUNT SIERP

Krwawe dni

We wsi niemieckie pacholki i zandarm, ścieżki i wyjścia bagnietem zaparte, w podwórkach, chatach i oborach alarm! trwoga — wziętem się u krtani zaciska — Stoją — w wywalonych wrotach i sieniach hełmami sto łbów błyska — wchodzą długo, bezustanku do izb zdyszanych Polską, do chat wkulonych w poranek po partyzancku, szukają śladów miłości najczystszej, gdzie przejdą — zgłiszcie, gdzie męczą — zgrają, byle germański czas krwią płynął, byle się kształcił słowiańska męka, byle się zagwił jak słoma, jak wieś, która kona. 1943.

pis: Jan Poletek. Auschwitz. Dziesięć kilometrów trzeba iść do tłumacza. „Liebe Frau!” Kochana Żono! Donoszę Ci, że jestem zdrowy i dobrze się czuję. Dozwolone jest nam przysyłanie paczek żywnościowych o wadze do trzech kg. Nie wolno przysyłać lekarstw i płynów... Pisz do mnie dwa razy w miesiącu i tylko w niemieckim języku. Napisz mi proszę, co u Was słychać nowego? Oczekując Twojego listu pozdrawiam Cię serdecznie i moje dzieci Twój mąż Jan Poletek”.

5.VII. „Moja Ukochana otrzymałam już siedem paczek. Przysyłajcie suchary, bardzo proszę o cebule i jeśli możecie tłuszcz. Pozdrawiam całą rodzinę, jestem zdrowy Twój Poletek Jan”.

8.VIII. „Najukochańsza żono i drogie dzieci, wasz ostatni list otrzymałam, także wszystkie paczki, chociaż nie wszystkie były w dobrym stanie lecz to nie jest wasza wina; droga jest czasami długa. Jestem Bogu dzięki zdrowy. Napisz mi jak idą żniwa, czy Gieniusz żał? Pozdrawiam wszystkich znajomych i krewnych i Was moja kochana Żono i Dzieci, całuję was tysiąc razy wasz kochający mąż i ojciec Jan”.

6.XI. „Moja Kochana Żono i Dzieci. Wasze ostatnie listy otrzymałam za co wam serdecznie dziękuję. Na wasze pytanie donoszę, że nie potrzebuję ciepłej bielizny. Pisałście do mnie, że wysyłacie tygodniowo dwie paczki, lecz w ostatnich trzech tygodniach tylko jedną otrzymałam. O ile tylko możliwe przysyłajcie mi dalej paczki. Życzę Wam dobrego Nowego Roku. Pozdrawiam Was serdecznie i całuję Was, Wasz Ojciec i Mąż”.

12.XI. „.....kiedy nie otrzymacie ode mnie listu, posyłajcie mi paczki spokojnie w dalszym ciągu. Co słychać z kartoflami, jak pszczoły?”

*

20.XII. „Nasz Najukochańszy Tatusiu i Mężu. Ostatni list bardzo nas zaniepokoił, pasek rupturowy o który prosiliś, wysłałam Ci pocztą, nie wiem czy przedko dojdzie. Tesknimy bardzo za Tobą, kiedy my się zobaczymy. U nas wszyscy zdrowi, gospodarstwo nam się powiększyło o jedno cielątko, pszczoły są dobrze zaopatrzone. Kontyngentu nie oddajemy, bo nas gromada zwolniła. Czy nie widzisz się z Janem Pieronem, bo jego żona nie otrzymuje listów i wciąż płacze, Twój brat JÓZEF już wyzdrowiał na kolana i rażno chodzi. Spodziewamy się jego przyjazdu. Całujemy Cię...”

13.I. „Listonosz przynosi Poletkowej paczkę. Poznaje — to pasek rupturowy, który poszedł do Oswiecimia. „Zurück” — to słowo już nie obce i ta paczka jeszcze nic nie mówi, lecz ręce drżą i oczy patrzą nieruchomo w twarz listonosza. „Jeszcze nic nie wiadomo, nie martwcie się Poletkowi, przecie i poprzednim razem zwrócili wam paczkę a w tydzień potem otrzymaliście list” — „O Jezu, Jezu już ja go nie zobaczę”.

ZAPŁATA

Jest czerwiec. Siny ranek. Znad łąk płyną mgły. Bugaj śpi, okna zatulone w przedranny mrok. W te mgły wchodzi Stanisław Rusiecki. Budzi się dzień, noc przeszła spokojnie, z niedalekiej Janiny nie słychać szczekania psów. Jest spokój, cisza. Dziś będzie dzień pracowity, dom czeka na swego gospodarza, robota. „Halt!, halt!” ostre głosy przecinają ranek, „halt”, pada strzał i Rusiecki obejmuje ziemię w

(Dalszy ciąg na str. 2-ej)

Krzyże Janiny

(Dalszy ciąg ze str. 1-szej)

ostatnim uścisku. „Bandit, bandit“, okute buty kopią bezwładne ciało. W domu w Janinie matka budzi najstarszą córkę — idź na Bugaj, powiedz ojcu, że spokojnie.

TRZYMAJCIE SIĘ MOCNO

Wrzesień. Gmina Szczytniki przeżywa nowy najeżdż. Który z kolei w tym 1943 roku? Janina, Kołaczkowice, od Rajku po Chełnicę i Ruczynów mundury zandarinów, gestapo i Sonderdienstu. Otaczają dom Antoniego Skwarka. W domu popłoch. Żenka woła — „łapanka“ i chce oknem uciekać. Ojciec podchodzi do drzwi, otwiera, żołnierz strzela prosto w pierś. Antoni pada na progu swojego domu.

W Busku badają Ignacego Dziurdę — „tyś urządził ćwiczenia dla chłopów, mów! Jakże organizacje są w twojej gminie!? Tyś urzędnik, sekretarz? bandyta!! Skrwawione, posiekane ciało leży na desce śmierci, ręce wyciągnięte nieruchomo. Ignacy Dziurda chłopów nie ćwiczył, ale wie i o tym i o tamtym. Ignacy Dziurda nie odpowiada, nie wie nie. Wielki Hans jeszcze raz zmierza się nahażem w lepkie, czerwone plecy i woła na psa. Owinięty w łachmany, bosy, niepotrzebny nikomu strzeg wiozą na cmentarz żydowski i tam strzelają.

Tam na tym cmentarzu leżą już od czerwca 43 roku Jan Brodsko, naczelnik poczty w Janinie, Stanisław Grzegorzczak, posiadacz dwóch hektarów ziemi w Janinie, Józef Muszyński, który zostawił żonę, matkę i troje dzieci małych na jednym hektarze ziemi, Stanisław Cyrański, gospodarz na dwóch hektarach, Jan Kawecki (żona i syn mały, 1 ha ziemi), Stanisław Jankowski (zostawił żonę, troje dzieci — 1 ha), wysiedleni z poznańskiego Józef i Zygmunt Grzegorzczaki i Antoni Tręć. Gdzie jest Bolesław Rydel więzień oświęcimski?

Na tym cmentarzu leży Jan Jasiński, dawny nauczyciel w Kołaczkowicach. Jasiński do ostatka, przez tych, którzy wychodzili na wolność, stał pozdrowienia znajomym — „trzymajcie się mocno“ — sam nie mógł już się ruszać i współwznieć musieli go karmić jak dziecko.

SIERPIEŃ 1944

We dworze w Kołaczkowicach stoi oddział Piotra, jest tam również Mila, córka zamordowanego w Oświęcimiu Poletka. Front jest w Kołaczkowicach. Niemcy zajmują jeszcze Busko, w Stopnicy są już czołgi sowieckie. Ale Niemcy pełnili jeszcze jedną dywizję pancerną na przyczółek sandomierski, wojska radzieckie ustąpiły dwa kilometry za Stopnicę i gmina Szczytniki znalazła się po stronie niemieckiej. Teraz już wiemy, słyszymy: front u nas, nie na Bugu. Samoloty krążą, armaty biją, naokoło horyzont zasłaniają chmurami: palą się całe wsie. Za każdym domem czai się czołg. Setki tysięcy spisują ludność, nazywają rano wszystkich wypędzają do roboty; ludzie kopią schrony, rowy, okopy. Sierpień, wrzesień, listopad, grudzień — jeszcze pół roku najstraszliwsza okupacja. Piotr mówi — „schowałem karabiny w polu i pół metra od tego miejsca Niemcy okopali działą“. Na błoni wykruli ukryte karabiny w snopkach, zastrzelili Józefa Lamparta. W lesie kołaczkowskim złapali Marcina i Marię Bławatów i Stanisława Moliś. Palą wsie, palą Szczytniki, Skrobaczów, Kucharz. Co słyszeć z Bławatami, gdzie jest pochowany Henryk Tometczak ze Skrobaczowa, aresztowany przez Wehrmacht w Janinie?

Rano, w słotny jesienny dzień żołnierze wypędzają wszystkich chłopów na placę zborne. Z Janiny, Kołaczkowice, Ruczynowa, Strzałkowa pogoniono osiemset chłopów do obozów pracy w Niemczech. Jasnowłosa Stasia nie mówi nic i nie widzi nic. Tej nocy trzech Niemców kolejno dzieliło się jej ciałem.

BRZOSOWE KRZYŻE

Od dwóch godzin bije bezustannie sowiecka artyleria. Katiusze, Katiusze. — „Już koniec“ — szepcą w chałupach i piwnicach chłopów. Niemcy uciekają. Na zakręcie widać już czołgi sowieckie. Niemiec podkłada ogień pod chałupę, uciekający drab ciska granat w otwarte okno. Huk, śmierć, porozrywane nogi i ręce. Ale już są żołnierze z gwiazdkami na czapkach. Za chwilę prowadzą Niemca — „patrz! To wyście zrobili“. Front już jest za Buskiem, za Pińczowem, Nidą. Od Stalingradu przeszedł aż po Kołaczkowice. Stara babka obmywa ciała córki, zięcia i wnuków. Na cmentarzu przybędą nowe krzyże: Trelińska Irena, Treliński Wojciech, Trelińska Krystyna, Trelińska Liliana, Reperowicz Genowefa, Skwark Janina. Niech wieś zatrzyma te nazwiska. Tauzowski Bolesław z Zaborza, Wojtacha Mieczysław z Bugaja, Gardyna Jan, Rokita Jan, Pieron Jan, Śolana Piotr, Graca Stefan, Poletek Jan, Piasecki Andrzej, Wojtacha Władysław i inne, inne, poległe w Oświęcimiu, Busku, Pińczowie i w nieznanym dalekim od Janiny miejscu.

Tadeusz Papier

LEON SOBOCIŃSKI

Michał Kajka — poeta ziemi mazurskiej

Gdy w roku 1935, zaproszony przez nieżyjącego już dziś Seweryna Pieniężnego, przyjechał do Olsztyna, miałem dwa pragnienia: zobaczyć Grunwald i porozmawiać z Michałem Kijką, poetą ziemi mazurskiej.

I jedno i drugie marzenie zostało spełnione za sprawą Pieniężnego, redaktora i wydawcy „Gazety Olsztyńskiej“.

Pamiętam jak dziś ową krzepką postać chłopskiego poety, liczącego wówczas lat około 80.

Ale lata nie zmogły syna ludu mazurskiego. Trzymał się bojowo. Wierzył w Polskę.

Przecież życie jego i jego twórczość — to skrót dziejów walki ludności warmińsko-mazurskiej o polskość tej ziemi.

Michał Kajka urodził się w Skomacku 27 września 1853 roku. W dzieciństwie nie słyszał on mowy niemieckiej i do końca życia językiem zaborcy nie władał.

Skarżył się Kajka, że ze swymi wnukami już porozumieć się nie może, takie postępy olbrzymie czyniła germanizacja wśród młodszego pokolenia.

Starsze pokolenie trzymało się kurezowo polskości, ale tu śmierć była sprzymierzeńcem wroga. Polskość przenosiła się na cmentarze.

Michał Kajka ujrzał światło dzienne wśród rozległych, malowniczych jezior na pograniczu powiatu ryńskiego i leckiego.

We wsi Skomeck i Ogródek upływały mu lata dziecięce i dojrzale. Polskość tych wiosek przetrwała wieki całe. Atmosfera tak była polska, że nikt po niemiecku nie rozmawiał, bo i nie umiał. Gdy byli wzywani do urzędu, do sądu — musiano na pomoc wołać tłumacza.

Nic dziwnego, że taki klimat hartował polskość tejże ludności i dopiero po dojściu do władzy reżimu hitlerowskiego, germanizacja czyniła spustoszenia w szeregiach polskich.

Umierało mało polskie. Kajka to widział i bolał. A z tego cierpienia rodził się u Kajki bunt, któremu dawał wyraz w swych prostych a mocnych, jak sam autor, wierszach.

Michał Kajka od wczesnej młodości miał pociąg do pisania. Była to, jak mi mówił, potrzeba jego serca. A pisał w sposób osobliwy. Mając lat 17, jako pomocnik murarsko-ciesielski, zajęty pracą, która go nie pociągała, osładzał sobie to gorzkie jarzmo obowiązku pisaniem wierszy. Pisał ukradkiem i to ołówkiem na heblowanej desce, na gorąco, a potem te deski zabierał do domu i przepisywał.

Towarzysze pracy pokpiwali sobie z poety, lecz Kajka tym się nie zrażał i wciąż tworzył.

Głównym motywem jego poezji była niedola braci Mazurów i Warmiaków. Gdy w siódmym i ósmym dziesięciu lat ubiegłego stulecia wyrugowano język polski ze szkół mazurskich, serce poety dotknięte tą klęską narodową, w twardych słowach zwraca się do Boga, prosząc Go o zachowanie polskości tymi słowy:

„Póki będziemy żyć
Będziemy Ciebie czcić —
W naszej macierzystej mowie,
Tak jak nasi ojcowie,
Póki tchu stanie,
Damy Ci cześć, Panie!“

W tych wierszach nie ma łzawego liryzmu, miękkiego sentymentu, jest surowy wyraz siły niepożytej ludu mazurskiego. Twarde słowa, jak twarda dola tej ziemi.

Po wieloletniej pracy Michał Kajka osiadał na swym gospodarstwie we wsi Ogródek i pióra nie wypuszczał z ręki. Jego wiersze drukuje „Gazeta Olsztyńska“, „Gazeta Mazurska“, „Mazur“.

W roku 1927 ukazał się drukiem zbiorek jego utworów p. t. „Pieśni Mazurskie“, które zapewne dzisiaj na-

MICHAŁ KAJKA

O ojczysta nasza mowo

O ojczysta nasza mowo, coś kwitnęła nam przed laty,
Zakwitnijże nam na nowo, jako kwitną w lesie kwiaty.
Zalśniijże nam, jako zorze, przywróć nam skarb

nasz istry,

Aby w domu i we dworze istniał język nasz ojczysty.
Choćby germanizmu wały na kształt śniegowej zawieji
Naszą mowę zalać chciały, jednak nie traćmy nadziei.
Jeszcze nie zgasło zarzewie naszej ukochanej mowy,
Rozwinie się, jak liść na drzewie i da nam pokarm
zdrowy.
Ojców mowo, co pieściła matką mnie w kołysce Tobą,
Słuchaj na nowo, byś świeciła nam światłością i ozdoba.

leżą do rzadkości bibliograficznych.

Sędziwy starzec, powszechnie poważany i bardzo popularny wśród Warmiaków i Mazurów był ostoją polskości tej ziemi.

Niestety, rządy Polski przedwrześniowej, mało się nim interesowały. Kajka żył w niedostatku, gospodarstwo oddał córce, pomagał zięciowi i pod koniec zamilkł. Nie pisał.

Czy nie mógł pisać? Owszem, rwało mu się pióro do papieru, jednakże nie tworzył, ażeby — jak mi mówił — nie sprowadzić na dom nieszczęścia.

Prosiłem go, ażeby napisał coś do „Gazety Olsztyńskiej“, której numer jubileuszowy wtenczas robiłem, zaproszony przez wydawcę Pieniężnego. Wymówił się:

— Nie chodzi o mnie, — mówił, — ale to się odbija na skórce moich najbliższych. Mnie się od świata już nic nie należy. A zresztą — dodał ze smutkiem — już nawet pisać bym nie potrafił.

Istotnie, ostrożność była wskazana, gdyż gestapo raz po raz pod różnymi pozorami odwiedzało skromną chatę poety w Ogródku. Nie mogli rewizji dokonywać otwarcie, robili to drogą pośrednią, śledząc każdy krok poety.

Dlatego też, ażeby rozmowa nasza miała swobodniejszy charakter, zaprosił Kajka nas, t. j. mnie i Pieniężnego do chaty:

— Tu, na dworcu, to i drzewa mają uszy, chodźcie do izby, pogadamy bezpiecznie.

— A w domu może ściany mają uszy.

— No, tak źle nie jest, — odpowiedział Kajka, — tam możemy sobie swobodnie pogawędzić.

Rozmowa potoczyła się o tym i owym. Punktem centralnym była jednak Polska i jej sprawy. Wypytywał Kajka o Warszawę, o stosunki polityczne; krytykując polsko-niemiecki flirt dyplomatyczny.

— Z tego nic dobrego nie wyjdzie, — twierdził — bo jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem. My tu — ciągnął dalej — znośmy takie przesławanie, że wszystko, co dawniej robił Bismarck, to były dziecinne zabawki. Hitler w rok bardziej wytypi polskość na Mazurach aniżeli hakata przez lat dziesięć. Za wilhelmowskich czasów było ciężko, ale jeszcze sprawiedliwość jakąś Polak mógł znaleźć. Teraz wszystkie drogi zamknięte.

— A jak myślicie, ojciec, długo się tu Polska utrzyma?

Kajka spojrzawszy swoimi siwymi oczyma na mnie z pełnym zdumieniem, że takie polskie słowa z polskich ust wyjść mogą i odparł twardo z przekonaniem, które mnie dziś zdumiewa, a które wtenczas przyjąłem nad wyraz sceptycznie:

— Co też mówicie, Polska się tu jeszcze poszerzy zbrodni niemieckiej muszą być ukarane i będą, chyba by Boga nie było na niebie. Ale jest sprawiedliwość na świecie, choć się nam zdaje, że jej nie ma. Jeśli ja nie dożyję tej Polski, to mój wnuk, wnuki moich wnuków doczekają.

Po chwili Kajka wstał, podszedł do komody i wyjął stamtąd owiniętą w gazetę książkę. Odwinął ją i w oczy mi się rzucił egzemplarz „Krzyżaków“.

Osobliwa to była książka, bo drukowana gotyckimi czcionkami, tak zw. „szwabacha“. Pieniężny drukował ją w swej oficynie specjalnie dla Mazurów. Dzisiaj książka ta niewątpliwie jest białym krukiem.

— Ot, co sobie czytam w wolnych chwilach. I czasami wierzę, że Niemców spotka jeszcze raz kiedyś drugi taki Grunwald.

Słowa te wówczas, w momencie największego nasilenia triumfu nazistowskiego brzmiały prawie przesadnie, jak egzaltacja uczuciowa patrioty, dziś widzę, ile w tym było jeśli nie prorocтва, to mądrego spojrzenia w przyszłość mądrej starości, która swą wiarę opierała na wiernej ziemi.

Wierna tu ziemia i wierni ludzie.

Tylko sam Michał Kajka powracającej na Mazury Polski nie powitał zwycięską pieśnią.

Więziony i szykanowany przez bandy hitlerowskie zmarł ten dobry syn macierzy mazurskiej w roku 1940.

Nie uradował starzec swych gasnących oczu wolnością. A tak zapewne tego pragnął.

Nic to, jego pokolenie tę Polskę na Mazurach ogląda. Kajka choć umarł, na Mazurach żyje.

W następnym numerze:

nowelą Józefa Pogana

„KRWAWY BOGI“

oraz

artykuł J. Spytkowskiego

„TWÓRCZOŚĆ JÓZEFA POGANA“

JAN ALEKSANDER KRÓL

O szkołę powszechną

(z okazji zjazdu nauczycielstwa w Bytomiu w dniu 25 listopada br.)

Motto:

1) dążyć będziemy do zapewnienia wszystkim dzieciom równego startu życiowego poprzez tworzenie jak najszerszej sieci szkół, 2) dążyć będziemy do powszechnego kształcenia na poziomie 8-mioletniej szkoły powszechnej i średniej, 3) do kształcenia zawodowego w szkołach zawodowych i fabrycznych, by Polska przestała być krajem, niewykwalifikowanych robotników i chłopów, 4) do szerokiej oświaty pozaszkolnej dla dorosłych, 5) do udostępnienia szkół wyższych dla największej ilości młodzieży z warstw pracujących, 6) do upowszechnienia radia, teatru, książek i kina.

(z przemówienia ministra oświaty, ob. Wycecha)

RÓWNY START ŻYCIOWY

Wypowiedź ministra oznacza dla obywatela wolę rządu. A wola rządu winna z kolei wyrażać wolę narodu. Dlatego warto, aby młodzież wiejska, nauczyciele, oświatowcy, działacze i pisarze chłopscy, czytający tę deklarację rządu zdali sobie sprawę w jak niesłychanie wysokim stopniu została uznana ta wola narodu.

Kto tak, jak my pieścił w sobie ideę podniesienia warstwy chłopskiej z poniżenia społecznego, ten pojmie co to znaczy przenieść zadanie „równego startu życiowego” od dziesiątków lat powtarzane — z ust obrońców ludu w usta przedstawicieli rządu.

Kto tak, jak my pragnął uczestnictwa chłopów w życiu narodu ten zrozumie, co to jest zaplanowanie ośmioletniej szkoły powszechnej, co to jest otwarcie szkół zawodowych i fabrycznych dla młodzieży wiejskiej.

Do zaspokojenia wszystkich — a jakże w olbrzymim zakresie pozarolniczych — potrzeb chłopcy chcą i powinni stanąć również i sami chłopcy. 8 milionów „ukrytych” bezrobotnych to materiał ludzki, oczekujący na wykwalifikowanie i pozarolnicze, niezbędne dla obsługi podnoszącej się cywilizacyjnie wsi.

Działaczom oświatowym, społecznym i pisarzom starszego pokolenia przypomną się zapewne sceny dramatyczne sprzed lat, jakie rozgrywały się w obronie praw ludu do oświaty — oświaty powszechnej, tzn. dla wszystkich, nieograniczonej do jednego zakresu specjalności („kastowej”) i dostępnej na wszystkich jej stopniach.

Młodzieży, która dziś czyta tę deklarację z poczuciem jej oczywistej słuszności i nie domyśla się być może, że to co dla niej jasne i niewątpliwe, jeszcze przed laty, jeszcze i dziś w obliczu dekretu i stwierdzeń rządu jest nadal mączone, rewidowane i zwalczone — tej młodzieży rwącej się do wiedzy należy uprzytomnić, że dyskusja, kto ma i ile ma wiedzieć, wciąż jeszcze trwa.

JAK TO BYŁO Z UNIWERSYTETEM ORKANOWYM?

Chcemy sięgnąć do przykładu nie zbyt odległego — tuż przed wojną w roku 1938 „Gazeta Rolnicza” poświęciła obszerny artykuł „Wiejskiemu Uniwersytetowi Orkanowemu”. „Gazeta Rolnicza” była organem Organizacji Ziemiańskich, Związku Rolników i Leśników z wyższym wykształceniem.

Cóż tedy organ Ziemian miał do powiedzenia o chłopskim życiu umysłowym?

Po pierwsze z niezadowolaniem stwierdził fakt, że „synowie chłopscy pchają się dziś do nauki, często i akademickiej, do handlu, do urzędów i miast”.

Po drugie zwrócił uwagę na dodatkowe skutki tej konkurencji chłopskiej: „Ci, którzy zostają na wsi czują do świata całego pretensję”.

Po trzecie wskazał na Uniwersytet Orkanowy, jako na instytucję, która podsyca owo fermentowanie niezadowolenia i buntu społecznego „głosząc górne hasła o emancypacji społecznej i materialnej chłopcy”.

„Na odcinku Wiciowym mylnym zaiste diabelskim, który przetwarza „rozparzone” dusze młodzieży na wyznawanie racjonalizmu i klasowości jest Wiejski Uniwersytet Orkana”.

Po czwarte wyraził zaniepokojenie wobec programu wykładów, w historii „jednostronnie przedstawione są sprawy pańszczyzny”, z ekonomii (po co to chłopom?) wykłady — „o naprawie ustroju rolnego pod kątem widzenia społecznego”.

Organowi Ziemian wszystko to razem mocno się nie podobało. Ten sam artykuł pozwala łatwo zrozumieć w imię czego podniosła „Gazeta Rolnicza” krytykę Uniwersytetu wiejskiego?

Podniosła w imię szlacheckiego monopolu na odgrywanie decydującej roli w Polsce. Dlatego Solarz skoro „pomaga do prostowania zgjętych dotąd grzbietów chłopskich” — został zaatakowany!

Nie można było przecież pozwolić, aby wciskano „w dusze chłopskie wiarę w najwyższą potęgę rozumu i woli ludzkiej” — to groziło rozbiciem dotychczasowego ustroju społecznego Polski. Wiadomo ile już z tego zrobili na wsi oddzielonej, zamkniętej i jednorodnej

dotąd — reemigranci, chłopcy co byli w świecie, co w świecie pracowali w najnowocześniejszych fabrykach. I leż oni wnieśli za powrotem fermentu społecznego, jak bardzo otwarli sąsiadom oczy na lepsze sposoby gospodarowania, jak nauczyli ich organizować się, zakładać instytucje użyteczności publicznej, ile rozbudzili zapału do wiedzy?

Dla organu Ziemian jasne było, że wiedza wzbogacająca umysły chłopskie to najsukcesyjniejsza broń w walce społecznej. Dlatego w sposób perfidny „Gazeta Rolnicza” uciekała się do siły znaczenia najstarszych wpływów jakimi świat panów przez wieki wieś omotał.

DO RELIGII I DO MITU POLSKI SZLACHECKIEJ

„Prądy katolickie i narodowe są błogosławieństwem dla młodzieży wiejskiej!!! One to tych „rozparzeńców” — „ofiary braku rozumnego wychowania domowego i szkolnego” odwrócić skutecznie od nauki, a więc nie dopuszczają do rozbudzenia w chłopach godności społecznej i ambicji twórczego udziału w życiu narodu.

Po staremu zachowują w kuliście dla tych „podstaw światopoglądu, które — zdaniem „Gazety Rolniczej” — kulturę wiejską Polski wytworzyły”. A są nimi Kościół i ta przeszłość Polski, którą niechby się „zechcieli własnowolnie duchowo uszlacheć, patrząc na rycerskie wzory spod Grunwaldu, Chocimia i Wiednia”.

Dlatego w pasji kończy „Gazeta Rolnicza” strasząc i wabiąc zarazem: „nie z Szyc i Gaci wychodzą najdzielniejsze jednostki chłopskie lecz z zacofanej szkoły „księży i panów” wielkopolskich”.

Oto i dowiedzieliśmy się, kto i dlaczego nie chciał postępu oświaty na wsi, wolnej od jezuickiej i szlacheckiej opieki.

„TYGODNIK POWSZECHNY” ZA JAKIM ELITARYZMEM?

Tak jeszcze było przed siedmiu laty. Dziś w nowej Polsce w organie inteligencji katolickiej „Tygodniku Powszechnym” zagadnienie oświaty powszechnej zostało znów podjęte i trzeba to powiedzieć — inny tu, pełen kurtuazji, język, bogatsze narzędzia dowodzenia, czytelnik przygląda się zdawałoby się naukowemu demonstrowaniu koniecznych związków i konsekwencji, ale po pierwszym wrażeniu budza się w nas te same zastrzeżenia, jakie mieli ci... przez „Gazetę Rolniczą” „rozparzeńcami” zwani.

Idzie tu o artykuł „Szkoła powszechna i średnia” (Nr 27 z 23 września 45 r.). Autor występuje w nim przeciw ośmioletniej szkole powszechnej — zaprojektowanej przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Dlaczego? Powodów wysuwa kilka, rozmaitego gatunku. Pierwszy apeluje do „zdrowego rozsądku” czytelnika. Spójrzmy rzeczowości w oczy — zdaje się mówić autor. Przed wojną mimo zasady siedmioklasowej szkoły mieliśmy przede wszystkim jednoklasówkę. 73% stanowiła 4-klasówka, a tylko 17% pełnoklasowa szkoła.

Więc „gdybyśmy ograniczyli się skromniej do lat 6-ciu i pragnęli realizacji tak uproszczonego postulatu: „W każdej gminie conajmniej jedna sześciolatka” to i tak akcja ta natrafi na trudności”...

Gdyby autor na tym argumentie poprzestał nie byłoby powodu do spóru. Przyjęlibyśmy jego dowodzenie tak, jak tego, kłoby nam mówił: zanim chłopcy wprowadzą na wieś przemysł średni — dobrze byłoby gdyby opanowali i rozbudowywali: cegielnie, tartaki, krochmalnie, serowarnie, piekarnie i rzeźnie.

Ale gdyby nam ten ktoś powiedział: „ani się wścieć myśleć o przemyśle — to by wzbudził w nas poważne podejrzenia.”

A nie inaczej postępuje autor omawianego artykułu: Bo koniec końców chodzi mu o to, aby i w „zasadzie, w samej teorii programu zostało uznane za słuszne urwanie dwóch lat szkole powszechnej na rzecz gimnazjum. Dlaczego? pytamy po raz drugi. Na to nam autor odpowiada — idzie o elitę umysłową! Mamy innym narodom dorównać, mamy wytworzyć swój odrębny typ kultury, musimy więc wyprodukować wybitnych znawców w każdej dziedzinie.

No dobrze — ale — maturzyści to wcale nie specjaliści. To są dopiero „rozparzeńcy” o tzw. ogólnym wykształceniu bez przydziału zawodowego i o rozchwianej najczęściej więzi społecznej z macierzystym środowiskiem. Maturzyści powinni pójść na wyższe studia. I tu udział chłopów musi być duży. Ale — pytamy — kiedy się to stanie łatwiej, czy wówczas kiedy obniżymy oświatę powszechną na wsi, czy wtedy kiedy ją podniemiemy? Pęd do wyższej wiedzy, do specjalizacji chociażby niższych stopni musi mieć ogólne zrozumienie, zapał i poparcie. Z ciemności powszedniej wyblyskują tylko meteory. To jest niezdrowa sytuacja, zabójcza dla oświaty, zabójcza dla powstawania elity umysłowej.

Z pozycji sześcioklasowej szkoły powszechnej mniej będzie chłopów przenikać do gimnazjum. Utrzymać się ta przepaść, która była. Chłop „czytał i pisał” i na tym koniec — a edukacja i mądrości to pańska rzecz. I autor tego właśnie podziału w sposób zamaskowany

i perfidny broni. Do gimnazjum szedłby więc po starciu nie chłop. Panowie z miasta rządząliby nadal chłopami. A chłop po 6-cioklasówce mniejsze miałby pretensje, bo mniejsze horyzonty. I dobrze by było...

I PROFESOR BUJAK TAKŻE?

Było to we wrześniu po łódzkim zjeździe nauczycielstwa polskiego. W listopadzie ukazał się w tym samym „Tygodniku Powszechnym” artykuł prof. Fr. Bujaka pt. „Zagadnienie wiejskiej szkoły powszechnej”.

Aby zrozumieć nieoczekiwane tezy i wywody czołowego autora należy nam powiedzieć parę słów o samym profesorze tytułem wstępu.

Prof. Bujak jest u nas jednym z najstarszych reprezentantów nauki „socjologii”. Nauki, która przez dziwne wycucie cieszy się wśród młodzieży chłopskiej uderzającą sympatią: wiedza to odsłaniająca strukturę grup społecznych, ich związków i walk, wskazująca na losy jednostki jako dzieje przede wszystkim członka grupy. Słowem, nauka, która ze względu na swój przedmiot i metody uchodzi słusznie w oczach młodzieży za symbol postępu i nowoczesności. Stanowi punkt wyjścia dla zrozumienia roli społecznej wszystkich innych nauk, z technicznymi włącznie.

Stąd może i opinia o profesorze, jako o tym co wsi by nieba przychylił i wiódł ją w mądrzejszą, doskonalszą przyszłość.

W rzeczywistości dobre intencje profesora nie wybiegły zbyt daleko poza krąg ważny dla etnografa i historyka, rozmiłowanego w tradycyjnej kulturze ludowej. U prof. Bujaka spotykamy tę samą charakterystyczną dla pokolenia: Witosa i Bojki — szlachetną obronę godności chłopskiej. Z precyzją filologa odczytywał prof. Bujak przed wojną łacińskie oceny Długosza: szlachty i chłopów.

Z satysfakcją obrońcy ludu podawał wynik porównania: jednakowe wady i zalety. Z tej samej żelmy gliny!

Ale kiedy szło o współczesność, wprawdzie i wtedy z tym samym gestem szlachetności występował przeciw faszyzmowi, tak jednak swego dowodził: „Chłop czuje instynktownie, że ustrój totalny przynosi mu zwiększenie ciężarów na rzecz państwa i pomnożenie kontroli gospodarczej i politycznej przez zwiększenie reszty biurokracji, uciążliwości zaś nie równoważy korzyści z postępu i urządzeń komunikacyjnych i rozwoju przemysłu”. Nie idzie nam w tej chwili o zagadnienie totalizmu. Przytoczony cytat niech służy jako dowód jak postęp techniczny stawiał Bujak na oddalonym planie, jak sercem przychylił się do niespołecznej w gruncie niepodległości chłopca na zagrodzie „równej wojewodzie”.

Stanowisko prof. Bujaka w artykule o wiejskiej szkole powszechnej jest zadziwiające przede wszystkim dla polityka. Wiadomo bowiem, że profesor należy do tego samego obozu co minister Wycech, a jednak profesor zwalcza projekt ministra i prezesa ZNP w jednej osobie. Nie chce ośmioletniej szkoły powszechnej. Nie chce upowszechnionego gimnazjum.

„Wykształcenie średnie ogółu ludności wiejskiej spowodowałoby przede wszystkim przewrót w życiu wsi. Nikt nie chciałby zostać rolnikiem i żyć na wsi”...

Łatwo dostrzec znaną nam już z ubiegłych lat aprobatywną postawę profesora dla wsi rolniczej, wyłączenie rolniczej. I kiedy prof. Bujak mówi „o takiej organizacji wiejskiej szkoły, aby uczyła żyć na wsi i dla wsi” najważniejsze dla niego jest „nauczanie rozumienia i ukochania przyrody, poszanowania tradycji i zwyczajów wiejskich, poczucia godności osobistej i ważności zawodu rolniczego”...

Trudno nam z kolei nie wyczytać w tych wskazaniach ich założeń światopoglądowych to jest po 1) ukochania przyrody w postawie bezradnej, w której rolnik znajduje się tysiąc razy silniej, niż jego brat robotnik w hutach, fabrykach ubrań, aparatów radiowych, samochodów, czy lekarstw, po 2) popierania systemu wychowawczego statycznego, który polega na przystosowaniu wychowanka do niezmiennego środowiska i nie liczy się z prawem rozszerzalności potrzeb i ze zmiennością środowiska, po 3) definitywnego określenia środowiska wiejskiego, jako jednorodnego — środowiska rolników.

Na tym tle zaiste przestają być dla nas dziwne dalsze wywody profesora, że zadaniem szkoły powszechnej winno być nauczanie dziecka: „czytać, pisać, rachować” i basta!

Rzeczywiście takim powszechnym programem bardzo może czuć się zbudowany „Tygodnik Powszechny” a niemniej byłaby zbudowana „Gazeta Rolnicza”.

My zaś w tych trzech artykułach widzimy związki i podobieństwa w tym, co się z dawną nazywa konserwatyzmem kulturalnym.

Jednym siłom społecznym takie mniemania u tych, których by chcieli wyzyskiwać bardzo się podobają, dla tych zaś sił, które występują w roli ofiary, podobny program jest tragedią — samobójstwem!

I nie wydaje nam się, aby młodzież nie umiała rozróżnić, co jest przeciw niej wymierzone i przeciw rozwojowi wsi, którym tak mocno się egzaltuje.

JÓZEF POGAN

Dyskusja o gwarze

Gwara to nie chińszczyzna

Artykułem Józefa Pogana, otwieramy dyskusję nad zagadnieniem gwary w literaturze. Sprawa ta była poruszana już wielokrotnie, ale zawsze w związku z innymi, bardziej podstawowymi zagadnieniami życia kulturalnego i społecznego — niejako na ich marginesie. A przecież kwestia języka literackiego ma dla każdego pisarza jak również czytelnika znaczenie pierwszorzędne i powinna być wyodrębniona jako problem samoistny. Oczekujemy dalszych wypowiedzi, zwłaszcza od autorów bezpośrednio przez Pogana zaatakowanych. Rzeczowa wymiana zdań w sprawie stosowania gwary w literaturze przyczyni się waleń do rozwiania wielu uprzedzeń i przesądów. Z tą myślą otwieramy łamy „Wiś” dla interesujących się sprawą gwary.

Problem gwary nie byłby tak splełany i gwara spotkałaby się z szerszym poparciem, gdyby pisarze wiejscy w swoich utworach kierowali się podstawą języka polskiego oraz zdrowym rozsądkiem.

Bo gwara nie można nazwać jakiegos bełkotania jakim się często pisarze wiejscy wyrażają. Gwara tak samo jak język literacki, wymaga pewnej znajomości filologicznej. Nie można nadawać gwarze różnolitego brzmienia jak się to obecnie praktykuje, że np. dwóch pisarzy z jednej dzielnicy stosuje odmienną fonetykę. I do czego to prowadzi? Przecież na podstawie słownictwa polskiego można fonetykę wszystkich narzeczy sprowadzić do wspólnego mianownika. Nie można mowy naszych przodków zamienić na jakąś chińszczyznę. Musi być mąd gwarą polską dbałość, która nie pozwalała mieszać przeróżnych brzdęków!

Weźmy do rąk np. Nr 15 tygodnika „Wiś” i czytamy „Podkrakowskie namówny” Stanisława Juchy. Wybierzmy z tego utworu kilka dziwologów, a następnie poddamy je pewnej analizie filologicznej. Więc uwaga: „łobrażę”, „swędać”, „un”, „biyda”, „chopoki”, „iść”, „brzycki”, „pude”, „łocy”, „jages”, „jedym”, „zemnaneś”, „Poniezus” i t. p.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się mogło, że to drobniak, ale po dokładniejszym rozważeniu dojdziemy do wniosku, że jest to nie tylko zniekształceniem gwary, ale i całości języka polskiego.

Fonetyka „łobrażę” i „swędać” nie ma uzasadnienia, bo: 1) w słownictwie polskim nie ma sylaby „an” i „en” 2) „łobrażę” tak samo wymawiają analfabeci jak i inteligenci. Zniekształcenie go obrońcy „łobrażę” nie tylko czytelnicy, ale i sam autor nie wymówi. Więc po co tak pisać jak się w ogóle nie wymawia? „Un” zamiast „on”, to też nie mniejszy barbarzyzm od „swędającego” się „łobrażę”. A jakimże absurdem jest pisownia wyrazu „iść” (iść), (chyba iść do diabła autorze!). Przecież to słowo wykształceni ludzie i analfabeci jednakowo wymawiają. Fonetyka „iść” pociągałaby za sobą pisownię setki podobnych wyrazów, np.: „wiś” osada i „wiś” czasownik w trybie rozkazującym; „sieć” na ryby i „sieć” — siedzieć; „mieć” — metal i mieć; „wić” — żart i „wić” — widz; i t. d. Nie ma też uzasadnienia „brzycki” tylko brzydki, „pude”, tylko póde, „gupio” tylko głupio, „jages”, tylko jakes, bo te wyrazy tak w mieście jak i na wsi jednakowo się wymawia. Także „jedym”, „zemnaneś”, „na” — też niespotykane dziwologi i jako pojedyncze wyrazy nie byłyby w ogóle zrozumiałe. Wyraz „biyda” mógłby się od biedy utrzymać w gwarze, lecz to pociągałoby za sobą pisownię „wiyncy”, „siyndzie”, czemu znów zaprzecza słownictwo, bo nie ma sylaby „wiysz, siyn”, a nosowego „y” też nie ma potrzeby fabrykować specjalnie dla kilku poetów ludowych. Wyraz „chopoki” pociągałby za sobą pisownię „kos” zboża i „kos” ptak, „pot” parkan i „pot” z ciała, „grat” stary przedmiot i „grat” — grad. A może „iść” więcejby pociągało „grat” niż „chopoki”. Czy ja już wiem?...

Nie tylko w piśmie, bo i w mowie w różnych dzielnicach Polski jeszcze nie zaobserwowałem zrytualizowanego wyrażenia „Poniezus”. To już razem z „gratami” może być wielce niebezpieczne nie tylko dla autora Juchy, ale i dla całej jego okolicy, bo gdyby się Pan Jezus zgniewał za takie przedrzeźnianie swego Imienia, mógłby — zamiast gradu — spuścić z nieba na ziemię przeróżne stare graty. Lecz o czymś podobnym może śnić tylko poeta z Beskidów.

Autor sam sobie zaprzecza, bo w jednym wypadku pisze „jagem”, a w drugim „jakże”, „tyz”, ale „rematys” („tez” uważam za pomyłkę zecerą) „ucom” ale „trzemają”, „majom”, ale „psują” i cała masa podobnych dziwologów na których omówienie trzebaby najmniej dziesięć stron druku.

Tych kilkanaście przykładów powinno dać prawdziwy obraz zastraszającego zjawiska pisania gwary na głupio. I to ma się nazywać „wkładem” do skarbcza kultury narodowej?...

„Podkrakowskim „namamwinam” przeciwstawia się fonetykę „Taniec zbójnicki” Nędzy-Kubińca. Tam jest niby kryształ — gwara góralska, nie odbiegająca od słownictwa polskiego i formy gramatycznej, mająca w sobie urok piękna i bogactwa wyrazów. Jedna tylko nieścisłość: — „zwink”, „wdzięk”. Tak też nie można, bo oba te wyrazy należą do jednej grupy. Ale to chyba pomyłka.

„Rebelija goral w Mostach” Pawła Kubisza też ma w sobie wartość, lecz grzeszy przeciwieństwem ortograficznym: „pióg”, „dlógo”, ale „pujdym”. Dlaczego nie: „plóg”, „dlugo” i „pójdm”? Chyba dlatego, aby zniekształcać język polski. Wygląda to tak, jak wkładanie rękawic na nogi, a skarpet na ręce. Ten poeta to na prawdę wyrotowicie, bo nawet pisze odwrotnie. Także „dryncy” „climyniśta”, ale „steko”, „poko” — też niekonsekwentnie. Autor „dryncy” gwary i chłopci dlatego „steko”, „Ziymia”, „dziyn”, „gniew” nie jest to zniekształceniem gwary, lecz ten sposób wyrażania się — jak już powyżej omówiłem też trzeba porzucić.

W mych utworach też są pewne nieścisłości fonetyczne, np.: „Pom Bóg”, „jo”, „ftory”, „fto”, „ji”, ale przynajmniej wyrazy złożone z sylab słownictwa polskiego, z wyjątkiem „ji”, lecz uważam za konieczne wyrzucić ten wyraz, a zastąpić poprawnym „je”. „Pom Bóg”, „jo”, „fto” — wyrazy zgodne z wymową wieśniaków mej okolicy mogą inni autorowie pisać swobodnie: „Pon Bóg”, „Pan Bóg”, „ja”, „kto”, „chto”, ale nie: „Pón Bóg”, „Panbug”, „Pambóg”, „chture”, „ktury”.

*

Gwara powinna wzbogacać język, a nie zaśmiecać go przeróżnymi rupieciami. Gwarą można pisać,

JOZEF ANDRZEJ FRASIK

Przemarsz

Gdy Berlin już padł, Griso, uchwyc harmonijkę,
German pobity, — zwycięski, zagraj nam troszkę.
Już katusze uciły, echa bomb zeszyły za wodą,
czołgi przysypały wiatrem, śpiewaj Natalio młoda!
Mosty strzaskane, jak zwodzone przepaścią wiszą nad rzeką.

Ze zgłiszcz spalonych nowy dzień woła narodziny człowieka.
Jeszcze niemiecki brud zalega wonią śmietnika,
helmy wdeptane w błoto, jeszcze szklivo z nich pryska,
a już robotnicy dźwigają rusztowania mozolnie:
tynk leci z okiennych strzelnic, cegły wołają: Wolność!
Tylko wojenna dziewczuszka u zbiegu nile — powiewa —
Natasza — chorągiewka na zachód, drogę otwiera,
śpiewa.

T. ZOCHOWSKI

Słuchając Szostakiewicza

(Wspomnienie ze służby w Armii Czerwonej)
Opadły akordy... dogasają dźwięki —
na łożysce kwiatu ostatnie „sol” kona
— w lilii wzniesionej nad ławiszem ręki
zawarta mądrość dobrzmiewa w tonach

— zanim płaski palców w pak się zawina
i podźwięk wędzący pograży milczenie —
pozwól mi patrzeć, grająca dziewczyno,
— pozwól mi chłonać muzyki tej tchnienie:

aromat jesieni, pachnący prochem i śniegiem zmiętym,
kiedysmy z domu za Don dźwigali
zabrany z rumowisk bombardowań — ciężar zemsty
co serce palił...

W żegnalnych oczach kołchozowych kobiet też już nie było,

jeno ból i wyrzut — nadzieja —
dławiąc się goryczą, w żołnierskich piersiach
odchodzących synów
róża cierniową płonąła.

(A Don srebrzył się blisko, bajan grał —
a za Donem daleki, daleki kraj...)

Dokąd? — gnębił ów znak zapytania,
nożem spojrzeć kobiecych serce dźgał —
skrzypiały koła taborów, chrzęściły schylone działa
— za Donem daleki, daleki kraj...

Mój towarzysz w szeregu, młodszy sierżant Utkin
wzrok na zachód w lunach gorejących wysłał
i przydrożnym kobietom zakrzyknął: wróć!
— ścisnął karabin

— spod paznokci krew trysła...

ale należy fonetykę wszystkich narzeczy sprowadzić do wspólnego mianownika za pomocą: 1) używania tylko tych sylab, jakie mamy w słownictwie polskim; zastosowanie pełnych, ortograficznie przyjętych nosówek; 2) nie pisać wbrew odmianie gramatycznej; 3) nie zmieniać ortografii tych wyrazów, któreby przez zmianę stwarzały w następstwie niepotrzebne homonimy; i 4) wyrzucić „i” przed „o”, czyli nie pisać „łocy” tylko „ocy” lub „oczy”, nie „łokno”, tylko „okno” bo te słowa wykształceni i analfabeci jednakowo wymawiają, przeto należy się trzymać pisowni, którą mądrzy ludzie tworzyli. To wystarczy.

Ujęta w ten sposób fonetyka wcale nie zmieni gwary i nie zrówna wszystkich narzeczy polskich, jakby się to na pozór wydawało. Oczyści tylko gwara z niepotrzebnych dziwologów.

Natomiast należy się starać o wydobywanie gwarowych słów właściwych danej okolicy. Więc jeden pisarz będzie pisał „ile”, drugi „wiele”, trzeci „wiele”, czwarty „siela”, piąty „skielo”; jeden będzie pisał „tutaj”, drugi „tutej”, trzeci „tutok”, czwarty „tukej”, piąty „haw”, szósty „hawok”, siódmy „hawek” i t. d.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że egzotyczne wyrazy polskich narzeczy z różnych przyczyn nie zostały dotąd wyczerpane (a tak jest faktycznie) wówczas sobie uprzytomnimy jakim cennym wkładem do literatury ludowej, a tym samym do kultury narodowej może być gwara. Ale umiejętnie oddana, bo gwara nie można nazwać niedorzecznego bełkotania. Najgorsze bełkotanie może uczeń szkoły powszechnej zmienić na język literacki, ale pięknej, prawdziwej gwary, np. „Taniec zbójnickiego” czy jakiegos prozy żaden mistrz polonistyki nie potrafi zmienić. Oto próbka takiej prozy: „Hanka, chociaż to było z kościami pocziwe babsko, ale casym to nią jaz diobli trześli. Bo jakże nie mieli trząs, kieć nie doś, że tyn stary jej purchowa kawęcoł i lezoł od święty pamięci w łózk, to jescie ciągiem zwandol na nio i dopołoł jej do dziesiąty skóry. Nie roz se tyz babsko pomyślało, zeby go juz Pom Bóg zabroł, to by się drugi roz wydała i wtedyby jej się dopiero ozwidnielo na świecie. Ale Kaźmierza jakoś Pom Bóg nie zabierol. Widać se umyśloł trzymać tego stekaca na tym świecie na złoś babie, zeby się zanadto nie ozpuszcila, bo juz zacyna do obcyk chłopów susyć zęby. Juźci, ze se Pom Bóg mądrze umyśloł”.

Albo: „Dysc loł caluśki tydzień, a Wicek kciol sie zmyśic, co sie tropiel, jaz okropa, bo zezety jęciemien kisiol mu na polu kieby ogórki w becce. Klon tyz cęsto i powtorzol, ze jakby mu były kury nie wykapały, to by był zaniolł księdzu kosyk jojek, niekby wymodlył u Pana Boga pogode. Ale sie jakosik obesoł bez tyk jojek, bo dysc som przestoł loć”.

Choćbyśmy przytoczone urywki napisali ortograficznie, to jednak gwara wcaleby się przez to nie zmieniła. O tym piszący gwara winni pamiętać i nie robić z niej jakiegos chrześkiego jarmarku. Pisarz znający wartość gwary niech bierze do ręki miecz obosieczny: — jeden cięś tym, którzy ją zniekształcają, a drugi tym, którzy chcą ją rugować z literatury! To będzie najlepsza metoda obrony gwary.

*

Drogi Kolego po piórze, Jucho! W Twych „namównach” wyczuwam rozmyślnie przesadzanie. Tak nie można znęcać się nad mową Swych Braci. Kolego, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? Chyba w Twej okolicy nie sami afaziści mieszkają, więc dla czegożś naśladujesz półniemych? Wiem naprzód, Kolego, czym chciałbyś się usprawiedliwić: — „Przyjdź i posłuchaj mych bohaterów. — Słyszałem już nie tylko Twoich, ale wielu innych, lecz nigdzie nie zaobserwowałem podobnych dziwologów, jak w Twoich „namównach”. Wiem, że wieśniacy mają takie same narządy głosowe jak mieszcianie, a Ty zaś powinienes wiedzieć, że pisownia polska ma swe ustalone prawa, od których nie wolno odbiegać. Moim świętym obowiązkiem jest stanąć w obronie zniekształconej przez Ciebie gwary i za to nie będziesz chyba czuł do mnie żalu. Bo naukowcy boleją nad tym, mieszcianie drwią z nas i z naszej chłopskiej literatury, wieśniacy złoścą się... klną... plują... a serca pracowników kultury ludowej płaczą. Góralu, czy Ci nie żal...?

*

Post scriptum. Jan Gutenberg wynalazł druk, a Stanisław Jucha(nberg) może wynalezie nowe czcionki na drukowanie swych dziwologów. Szczesć mu Boże.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

W 90-tą rocznicę Mickiewiczowską

»Dziady« wystawione ludowo

(Jak Leon Schiller wystawił »Dziady« i jak dziś na to patrzymy?)

REFLEKSJE Z OKAZJI ROCZNICY...

Rocznica powinna być wspólnym zdaniem sobie sprawy, jaki jest nasz stosunek do zdarzenia kulturalnego czy historycznego, przez nas obchodzonego, wspólną oceną i wypowiedzią: czy to dla nas dobre? i co z tej tradycji odrzucić? a co z niej zatrzymać?

Mickiewicz jest nieobcy naszej wsi. I tu niechże rocznica będzie okazją do nowego spojrzenia — bo choć nie zmienia się poeta, to jednak czas się zmienia, i my w nim. A zmiana na wsi jest wszak wielka i dokona się jeszcze większa. Mickiewicz jest postacią tak bogatą, że dzieło jego było dowolnie tłumaczone, zależnie od potrzeb, czasów i ludzi. Socjaliści powoływali się na „Trybunę Ludów”, ziemianie na „Pana Tadeusza”; niewierzący na bluźnierstwa Konrada, katolicy na kult Matki Boskiej; demokraci na pisma społeczne Mickiewicza, reakcyoniści na jego wiersze religijne; nawet antysemita znalazł bajkę

ułamkach przez teatralnych chłopskich działaczy wiejskich.

W każdym razie było przedstawienie schillerowskie ostatnim przed wybuchem wojny ujęciem scenicznym arcydzieła Mickiewicza. Możemy je więc oceniać, jako najświeższe dziedzictwo kulturalne narodowej sceny.

JAK DOTYCHCZAS WYSTAWIANO „DZIADY“?

Schiller uważał dotychczasowe przedstawienia „Dziadów” za zniekształcające charakter tego utworu. Ale jak by chciał widzieć sam Mickiewicz „Dziady” na scenie? Na to pytanie niesposób odpowiedzieć. Nie wiadomo nawet na pewno, czy Mickiewicz przeznaczał swój utwór dla teatru. Może miał to być tylko „poemat niesceniowy”, forma czysto literacka. Piszac „Dziady”, nie mógł Mickiewicz nawet marzyć o wy-

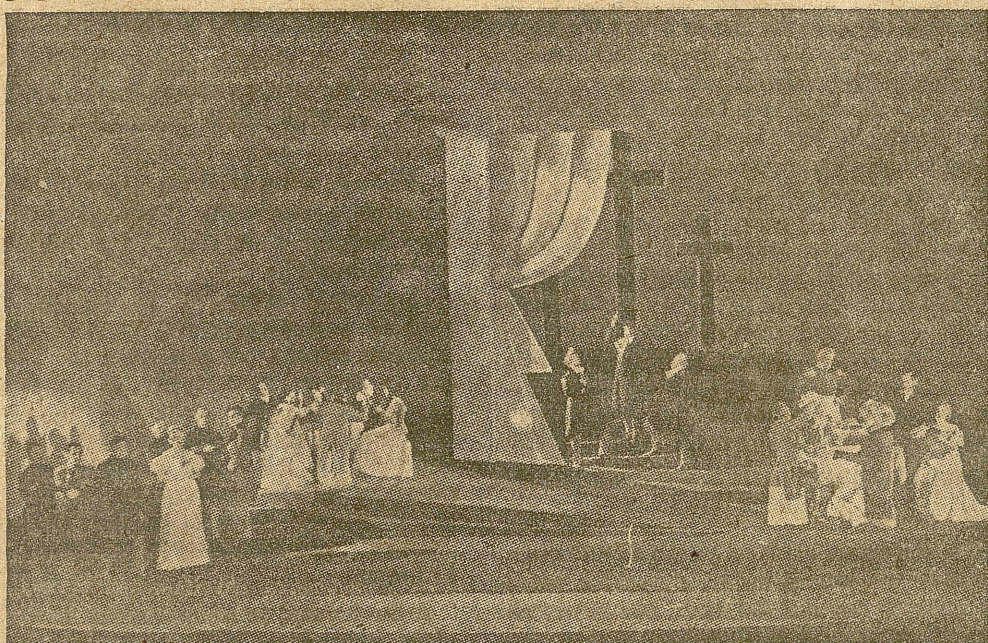
to też postępował tak, jak w teatrze ludowym, czy średniowiecznym, gdzie krzesło oznacza miasto, np. „Jerozolimę”, a jeden żołnierz całą armię. Dlatego wystarczały mu tylko fragmenty dekoracyjne, by pobudzić naszą wyobraźnię do działania tak dalece, jak nie potrafiłaby żadna najdokładniejsza dekoracja. Podobnie postąpił Schiller ze zjawami. Widma odgrywały w poemacie Mickiewicza zasadniczą rolę; wyrażały one romantyczną, mistyczną wiarę w zależność świata żywych od świata duchów i w pomoc udzielaną żywym przez duchy. Te właśnie treści „Dziadów” postanowił Schiller uwypuklić w swoim misteryjno-ludowym ujęciu. Podejście jego oparte było na spostrzeżeniu, że wystarczy pokazać ludzi, którzy widzą widmo, a nie pokazywać samego widma, przebranego, żywego aktora, który „wyszedł właśnie z garderoby”, — i to wystarczy, by obudzić w widzu wrażenie obecności siły zaświatowej, znacznie potężniejszej niż gdyby ją sam zobaczył. Tu Schiller znalazł nowe środki wyrazu teatralnego. W dotychczasowych przedstawieniach pokazywano widmo Zosi w scenie w kaplicy w ten sposób, że spuszczano na linie aktorkę ubraną w białą sukienkę, a gdy „młodzieńcy” chcieli ją chwycić, wtedy maszynista podciągał linę wraz z kobietą. Widmo złego pana i ptaków szarniacych go traktowano dotychczas dosłownie: drzwi się otwierały i wpadał tłum obdartych chłopów, nie dopuszczając nikogo do dziedzica, który błagał o pomoc. U Schillera zamiast Zosi igra promyk jasnego światła, które nadarmo chcą „młodzieńcy” zatrzymać, to oni widzą zjawę, nie my. Widmo złego pana to czerwono oświetlony słup dymu za oknem i głos przemawiający przy towarzyszeniu posępnej muzyki; „Krik” i „Sowa” przemawiają niewidzialni i tylko wieka trumien w kaplicy usuwa się, i dym się z nich wydobywa... Podobnie szatan, który epantował Konrada, nie skacze obok niego, jak dotychczas było, a przemawia ustami samego Konrada, który po upadku podnosi się w postawie kanibalicznej, zwierzęcej, mówiąc głosem ochrypłym — bo tkwi w nim demon. Podobnie ze sceną w sypialni Senatora: w dotychczasowej inscenizacji pokazywano cały jego sen, więc rozsuwała się kotara z tyłu, wchodził aktor w roli cara Mikołaja, i inni jako dworzanie. Car przypominał order Senatorowi, a potem odwracał głowę — Senator w niełasce kotara się zasuwawał, a Senator padał z łokiem na łóżko. U Schillera Senator był samotny, i tylko syczące głosy diabłów dobiegały zewsząd. Łóżko Senatora było otoczone dziesiątkami obrzeczonych luster — i w tych właśnie lustrach Senator widział własne odbicie, zwielokrotnione, jakby tłum dworzan — to on widział, nie my! W ten sposób konsekwentnie a sugestywnie rozwiązał Schiller sprawę zjaw. W innych miejscach Schiller podkreślał w jeszcze bardziej wyraźny sposób symboliczny sens przedstawienia; np. po bluźnierstwie Konrada opuszcza się wielka czarna krata, odgradzająca go od reszty sceny — symbol niewoli szatańskiej, w jaką dostał się Konrad. Podobnie podczas Improvizacji, która jest rozmową z Bogiem i diablem, Konrad spogląda na prawo, gdy mówi do Boga, a nasłuchuje z lewej strony, gdy szepce mu demon. Jest to zgodne z ludową tradycją szopki.

Ale wszystko, co podajemy tutaj, to tylko opis niektórych pomysłów zastosowanych przez Schillera. Inszenizacja ta była obmyślana w szczegółach i dokładnie przedstawienie zajęłoby znacznie więcej miejsca. By dać o niej bliższe wyobrażenie, opiszemy choćby jedną scenę, i to ujętą mniej „mystycznie”, a więcej realnie. Bo choć Schiller był pierwszym reżyserem w Polsce, który stworzył obrzędową formę „Dziadów”, odpowiadającą charakterowi poematu, to jednak i na społeczną jego treść starał się położyć nacisk. W sumie jednak przeważało misterium.

„SALON WARSZAWSKI”

Jest to szydercza scena, w której Mickiewicz ukazuje oportunistyczną reakcję warszawskiego „towarzystwa” na wiadomość o przesładowaniu wileńskich studentów. Dekoracja zawsze ta sama — trzy krzyże, i tylko na stopniach estrady ustawione krzeselka i stoliki; siedzi przy nich wytworne towarzystwo, grające w karty. Schiller przeciwstawia grupę patriotów reszcie zebranych w ten sposób, że traktuje warszawską societę jak zmechanizowane kukły. Słychać dźwięki poloneza i damy, panowie, oficerowie zrzucają karty w takt muzyki, jednocześnie kołyszac się miarowo, okrągło, delikatnymi ruchami — ale sztywno, jak marionety. Na tle portiera, tuż pod krzyżami — jak na ironię! — stoją trzej poeci, zastępy w upozowanych, emiatycznych gestach, ufrizowani „a la Tytus”, z rulonami w rękach — karykaturalnie traktowani. Delektują się oni muzyką i „wyglupiają” się przed generałem Krasieńskim, który stoi z tyłu, jakby kibicował przy grze w karty. W tym towarzystwie lalek żywa jest tylko stojąca z boku grupa studentów z Wysockim, przyszłym wodzem powstania listopadowego.

(Dokończenie na str. 6-iej)



SALON WARSZAWSKI

Po lewej patrioci z Wysockim, pod trzema symbolicznymi krzyżami „salonowi” poeci warszawscy, po prawej obok grających w karty — gen. Krasieński.

„Polla i rabin”, a ich przeciwnicy wskazywali na Jankiela... Każdy chciał Mickiewicza dla siebie, i każdy znajdował jakiś szczegół, który potwierdzał jego stanowisko; w ten sposób powstało wiele śmiesznych tłumaczeń. To jest dowodem, że każde pokolenie inne żywe cechy znajduje w tym pisarzu.

O INSCENIZACJI „DZIADÓW”

Ale problem „nowego Mickiewicza dla nowej wsi”, Mickiewicza niesfalszowanego przez przestawiającego wykładawcę, któryby pragnął podsumować chłopu nie to, co istotnie poeta mówi, a to, co objaśniamy chce pokazać — problem ten jest za obszerny dla rocznikowego artykułu. Chcemy zająć się tutaj jedną tylko sprawą — ale streszczającą w sobie zmianę naszego stosunku do Mickiewicza, i to właśnie chłopskiego stosunku, i to w zakresie twórczości kulturalnej. Chcemy powiedzieć o utworze Mickiewicza najbardziej dziś, po tej strasznej wojnie narodowej, — żywym — o DZIADACH. I o społecznej formie „Dziadów” — mianowicie o ich przedstawieniu teatralnym. O tym, jak widział teatr polski lat międzywojennych „Dziady” — jak oparł je o tradycyjne pierwiastki sztuki ludowej, jak wydobył ich treść przede wszystkim mistyczną, nie społeczną, kładąc nacisk na ideę związku świata duchów ze światem żywych, i jak my dzisiaj ten sposób patrzenia oceniamy. Czy nam się on przyda? Czy zmienił się nasz punkt widzenia? I w jaki sposób?

WIELKA DATA POLSKIEGO TEATRU

W roku 1932, najpierw we Lwowie, a następnie w Warszawie, wystawił wybitny reżyser, Leon Schiller, „DZIADY” Adama Mickiewicza. Było to jedno z historycznych zdarzeń sceny polskiej, i jeden z najważniejszych faktów kulturalnych okresu dwudziestolecia. Niestety, nie miał on oddźwięku tak szerokiego, jakby należało, i nie wszedł na należnym mu miejscu do dzieł naszej sztuki. Pochodzi to stąd, że brakło u nas teatrologów, tj. specjalistów-krytyków, którzyby przedstawienie dokładnie opisali, porównali z dotychczasowymi i przekazali czasom przyszłym. Przedstawienie nie jest tak trwałe jak książka; gdy się skończy, zostaje już tylko w pamięci widzów. Schiller żywił zawsze dwa marzenia: stworzyć polski teatr paletyczny, „monumentalny”, jak go nazywał, i przemówić do widowni ludowej, do najszerszych mas widzów robotniczych i chłopskich. Udało mu się zrealizować tylko pierwszą część tych zamierzeń, i dlatego zagraża im zapomnienie. Gdyby bowiem udało się Schillerowi wprowadzić swoje osiągnięcia teatralne na sceny ludowe, tradycja ich nie zaginęłaby tak łatwo, powtarzana i wyzyskiwana choćby w

stawieniu na scenie. Nie tylko dlatego, że nie istniał niepodległy teatr polski, ale też dlatego, że formy artystyczne ówczesnego teatru nie były w stanie objąć takiego dzieła. Teatr wtedy stał nisko, dekoracje malowane wyobrażały stale te same tła, „wnętrze pałacu”, „wojną okolicę”, itd.; jak tu pokazać potężne dziejące się jakby poza rzeczywistością wizje „Dziadów”? Słowacki zrezygnował na zawsze z oglądania swych utworów na scenie, pisał je dla czytelników i nie dawał nawet „spisu osób” dla aktorów na początek. Mickiewicz przewidywał w przyszłości odrodzenie „teatru słowiańskiego”, który w tak potężnych ramach jak teatr średniowieczny potrafi ukazać cały świat wyobraźni ludzkiej, ziemię, niebo i piekło. Ale nie opisał dokładnie, jak to sobie wyobraża. Dlatego pierwszy reżyserowie „Dziadów” wystawili ten utwór w najfajszyszy sposób. Zapomnieli o ludowej „misteryjnej” tradycji teatru polskiego, i potraktowali wszystko dosłownie, jak było napisane. Poszczególne sceny odbywały się w realistycznych, banalnych dekoracjach: „Cmentarz” to były szeregi grobów pokryte zielonym, strzyżonym papierem, „trawa”, z polamanymi krzyżami, „Cela wiezienna” z pozaciekanyymi wilgocią ścianami itd. Podobnie dosłownie traktowano duchy: byli to aktorzy poukierowani w ciemne lub jasne kostiumy, wyobrażający diabły i aniołów, skaczące pomiędzy ludźmi na scenie. „Dziady” tak pokazane nie tylko nie były podobne do tego co chciał Mickiewicz, ale wręcz budziły śmiech i przekonanie, że ten utwór na scenę się nie nadaje.

JAK SCHILLER PODSZEDŁ DO „DZIADÓW“?

Dopiero Schiller w 1932 r. udowodnił, że tak nie jest, i wprowadził utwór Mickiewicza w obieg społeczny przez stworzenie form, odpowiadających zwykłemu charakterowi „Dziadów”. Schiller odwołał się do tradycji misterium ludowego, które w skrócie, na jednej scenie i w jednej dekoracji ukazuje cały świat. Na scenie Schiller zbudował estradę z trzech stopni, przedstawiających: ziemię, niebo, piekło. Niezmiennym tłem całego przedstawienia były trzy krzyże, symbol polskiej Gołgoty. Ta dekoracja pozostawała przez wszystkie sceny, na dowód, że dramat dzieje się wciąż w jednym miejscu: w umęczonej Polsce. W razie potrzeby zaznaczano fragmentem dekoracyjnym, gdzie akcja się odbywała: kawał ściany z kratą w oknie oznaczał więzienie, łóżko — pokój senatora, okno z portiera — salon warszawski. Ale we wszystkich scenach, niezależnie gdzie się odbywały, pozostawały widoczne trzy krzyże na horyzoncie. Schiller uważał, że przedmioty i ludzie występujący w „Dziadach” są znakami, symbolami, uosobnieniami;

ROMAN BRATNY

Pisarze wobec postępu techniki

Nie chcemy ghetta chłopskiego

Sprawa wsi, kultury wiejskiej, jej przyszłości staje się ośrodkiem dużego zainteresowania. Coraz wyraźniej też formułuje się typowe błędne ujmowanie tego splotu zagadnień.

Żeby nie powracać do już zarejestrowanych przez „Więś” błędów środowiska marksistowskiego, zajmijmy się dziś drugą stroną barykady.

Posłuchajmy co podaje „Tygodnik Powszechny” w artykule prof. F. Bujaka (Nr 34) pt. „Zagadnienie wiejskiej szkoły powszechnej”. (Dla uniknięcia nieporozumień dodaję, że niektóre uwagi autora, jak np. żądanie odmiennych metod nauczania powszechnego dla wsi i miasta, uważam za słuszne).

„...pewnikiem jest, że chociaż w kulturze ludzkości od dawna ma przewagę miasto i przemysł nad wsią i rolnictwem, wieś i rolnictwo dały początek kulturze i stanowią dotąd jej podstawę istotną, miasto zaś stanowi stadium końcowe cyklu rozwojowego kultury. Daleko posunięte uprzemysłowienie i urbanizacja kultury jest zapowiedzią przejrzałości i zbliżania się końca cyklu rozwojowego czyli upadku kultury danego narodu. Nasz naród, podobnie jak każdy inny, powinien starać się jak najdłużej zatrzymać w połowie swego życia, czyli w połowie swego cyklu rozwojowego. Naród nasz powinien zachować równowagę między wsią i miastem tj. między produkcją rolną a przemysłową”.

Zastanówmy się kolejno nad bogatą treścią tych zdań.

Otóż wieś o tyle jedynie mogła być „podstawą” kultury, że wiejskie formy gospodarzenia, że rolnictwo po prostu, zawiązały pierwsze społeczeństwa, bez istnienia których o kulturze nie ma mowy. Natomiast ojczyzna kultury europejskiej w wyższym sensie jest greckie środowisko miejskie — **demos** (stąd i nazwa: demokracja).

Gdy pisze autor, że wieś stanowi dotąd „podstawę istotną” kultury — my zapytamy — jakiej? Nasunie się określenie — wiejskiej, czyli tej, na którą składają się **naturalne** formy bytu wsi. Bo przecież nie kultury narodowej, która u nas jest w swym pochodzeniu szlachecka. I nie jakiejś „bezwzględnie” pojętej kultury, która dziś mogłaby być rozumiana w sensie kosmopolitycznym, a która zawsze była wytworem cywilizacji miejskiej od najdawniejszych czasów. Przytaczam małą anegdotę. W 1943 r. spotkałem z oddziałkiem partyzanckim

jakąś osadę wiejską, a więc grupę społeczną w Polsce tych lat, która jeszcze nie widziała „Niemca”. Jak wyglądał w czasach „normalnych” jej kontakt z życiem, a więc i kulturą własnego narodu łatwo, sobie wyobrazić.

Wskazania, że „nasz naród powinien zatrzymać się w połowie swego życia, czyli w połowie swego cyklu rozwojowego” (widać już ów zenit został osiągnięty — ciekawe kiedy redakcja „Tyg. Pow.” widziała ostatnio prawdziwego żywego chłopca), że naród nasz powinien zachować równowagę między wsią a miastem, czyli między produkcją rolną i przemysłową” te wskazania przenoszą nas w sferę zupełnie egzotycznych na naszym stopniu cywilizacji kłopotów. Może jakiś Amerykanin sielankowo nastrojony na szczycie nowojorskiego drapacza mógłby poważnie traktować te „wskazania”, może nawet i znajdą się czytelnicy „Tygodnika Powszechnego”, którzy zrobią to samo kiwając palcem w bucie darowanym z UNRRY — człowiek myślący i pracujący nad przyszłością kraju i wsi złapie się za głowę. Więc okazuje się, grozi nam molocho przemysłu miażdżący dawną „wieś spokojną”... czym? Chciałoby się zahuczeć: traktorami, żniwiarkami, ciągnikami, ale realizm i znajomość przeszłości, dawnych „normalnych” czasów nie pozwala na przesadę — powiedzmy więc: całą zapalką, zamiast tej dzielonej na pół, odzieży, środkami podnoszącymi uprawę — boć żeby rolnictwo choćby tylko, jak chce autor, miało produkować na dawnym poziomie, to musi najpierw być **konsumentem przemysłu**. Zdobyte ziemie zachodnie wołają o sztuczny nawóz o doskonalsze narzędzia uprawy. Wieś czeka na pomoc przemysłu, wiąże z nim nadzieje, czeka pracując w najcięższych warunkach. O ile problem rozładowania przeludnionej wsi da

W następnym numerze:

DYSKUSJA O ROZWOJU TEATRU LUDOWEGO

Z wypowiedzi działaczy teatrów chłopskich widać, jak bardzo ważnym jest dla wsi teatr, ale równocześnie wieści jakie dochodzą o trudnościach w zorganizowaniu OŚRODKÓW kształcenia kierowników teatrów chłopskich (braki materialne, techniczne, brak kandydatów) wskazują, że od rozstrzygnięcia tej sprawy zależy wręcz istnienie sceny ludowej.

»Dziady« wystawione ludowo

(Dokończenie ze str. 5-ej)

Zaczyna się salonowa szopa: Krasicki namawia poetów do czytania, ci się certują, ale mają wielką ochotę, dają protesty — „choć po polsku umiem, to jednak polskich wieńsz nie hozumiem”. Na to wybuch Adolfa z grupy partiotów — dlaczego nie pisać o krwi, która się leje! I zaczyna opowiadanie o męczeństwie Cielickiego. Kukły złożyły karty, siedzą jak na szpilkach, zaczynają się chrząknięcia, odruchy na stronę, — ale Adolf opowiada bez litości, pałstwi się nieomal nad towarzystwem. Przechodzi od grupy do grupy, wszyscy się odwracają od niego! Nieśmiało chowają się pod stoły! Nastaje wielka cisza, — aż Szambelan przeciągnął paznokciem po talii kart: prrr! Wszyscy podskoczyli. Poeta Brodziński mówi nosowym głosem, że ten temat nie nada się do poezji: „Słowianie, my lubim sielanki! Za to dostaję lekkie brawo. Wysocki nie posiada się z oburzenia: „Nasz naród jak lawa, z wierzchu zimna i plugawa; — lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziebi — plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi!” Nagle z głębi rozlegają się kotły, brzmi WARSZAWIANKA — światło słabnie, a za trzema krzyżami przepływają czerwono oświetlone obłoki — zapowiedź nadchodzącej rewolucji narodowej! Warszawskiemu towarzystwu strach jeży włosy — zrywają się w zrytmizowanym, panicznym, baletowym odruchu.

PO DZIESIECIU LATACH

Schillerowska inscenizacja „Dziadów” robiła potężne wrażenie i zostawała we wspomnieniu jako jedno z najsilniejszych przeżyć artystycznych. Chociaż nie rozpowszechniła się ona tak jak na to zasługiwała (Od r. 1932 „Dziady” nie były już grane) to jednak możemy ją uważać za ostatnie spojrzenie na Mickiewicza — spojrzenie jakie dziedziczymy. Jak wypadnie ją ocenić? Może być dla nas powodem do dumy, że Schiller sygnał do polskiej tradycji ludowej i tam znalazł patetyczne, misteryjne, a jednak umowne formy, w których dopiero można było ująć bez reszty poemat Mickiewicza. Ale nie możemy zamykać oczu na fakt, że po wojnie, w naszych oczach, błędnie coraz bardziej wartość owej „obrzędowej”, „misteryjnej” tradycji. Ma ona wartość — jako forma piękna, niewątpliwie nasza, niewątpliwie autentyczna, niewątpliwie wielka. Schil-

lera kiedyś pytało, dlaczego wystawiał „Pastoralke”, Misterium o Narodzeniu Pańskim, jakkolwiek ani wtedy ani potem nie zamierzał robić propagandy Kościołowi, a nawet przeciwnie, jako artysta o zdeklarowanych poglądach społecznych był w ustawicznej kolizji z klerem. Odpowiedział, że „Pastoralka” ma poza religijną i sens ogólnoludzki — estetyczny i polski.

Takie „artystyczne” wytłumaczenie byłoby dostateczne, by obronić schillerowską inscenizację „Dziadów”. Tym bardziej, że nie zdążyła się ona spopularyzować, — a ciągłość rozwoju kulturalnego polega na tym, że przyswajamy sobie naipierw osiągnięcia wcześniejsze, a potem dopiero usuwamy je lub poprawiamy z wolna, gdy tego wymagają nowe czasy.



KSIĄDZ PIOTR I KONRAD

Krótka oznaczka niewole szatanijską w jaką po-
padł Konrad.

Ale jest ciekawe, że Schiller sam uważał swoją inscenizację za spóźnioną, i stwierdził, że współczesny sposób widzenia Mickiewicza powinien być inny. Zdaniem Schillera „Dziady” powinny się znacznie wcześniej doczekać inscenizacji, któraaby pokrywała się dokładnie z charakterem dzieła i zamiarami poety, jak to zrobiła dopiero inscenizacja Schillera. Schiller wyrównywał tylko „spóźnienie”, którego dotyczył nikt inny nie potrafił odrobić. Na to trzeba było dopiero niepodległego teatru polskiego — więc trzeba było czekać do r. 1932. Ale to były „Dziady” takie, JAKIE BYĆ POWINNY GDY MICKIEWICZ JE PISAŁ. Bo faktem jest, że Mickiewicz pojmował je jako misterium, oparte na elemencie sceny ludowej i średniowiecznej. Ale Mickiewicz żył w okresie romantyzmu, zaś misterium ludowe pochodzi z czasów jeszcze dawniejszych, omal, że przedwiecznych. Dla nas co innego będzie dziś żyło w mickiewiczowskiej spuściźnie — nie mistycyzm i wiara w zaświaty, w którą Mickiewicz uciekł z rozpacz po upadku ojczyzny, nie widząc realnego ziemskiego ratunku. Dziś do nas przemawia z „Dziadów” głos patriotycznej walki i społecznego cierpienia, obraz narodowej odporności i siły, sztyderstwo ze społecznego oportunizmu, wreszcie potępienie carskiego terronu, przemocy tyrań nad wolnym narodem. W „Dziadach” ściera naszą uwagę nie „Widzenie księdza Piotra”, któremu ukazuje się kabalistyczna liczba „44”, czy polemika Konrada z Bogiem w Wielkiej Improwizacji, ale właśnie „Salon Warszawski”, „Bał u Senatora”, sceny wieziennic...

Dlatego Schiller, mimo, że był autorem misteryjnego ujęcia „Dziadów”, przewidywał inną, nową inscenizację. Zamierzał zresztą sam jej jeszcze dokonać. Wyobrażał sobie mianowicie „Dziady” jako szereg scen piętych realistycznie i historycznie. Takie przedstawienie „Dziadów” uwypukliłoby to właśnie, co dla nas w tym utworze dziś żywe — jego podkład społeczny i polityczny, gdy poprzednia inscenizacja wydobywała raczej pierwiastek mistyczny, zaświatowy. Warto o tym pomyśleć z okazji mickiewiczowskiej rocznicy — a szczególnie nam warto o tym pomyśleć — gdy stoi przed nami olbrzymie zadanie stworzenia nowej, realnej społecznie kultury chłopskiej.

Zygmunt Kalużyński

LESŁAW BARTELSKI

HISTORIA

Poświęcone Warszawie.

Ostatnim rzutem ramienia wprowadzeni w ciemność padli w ataku. Nie mogło być inaczej, gdy wzięli w siebie wolność! skrawek ziemi jak powieki matki zapuchłe od płaczu, tak mały. A jednak wystarczył.

Los nie krzyżował dłoni napłask śmiesznością marzeń dziecińczych. Nie płał złotem i słońcem żołnierski kask, bo zwycięstwo było zupełnie inne.

Nacierający uszli. Ziemia ich skryła — pod darnią rudą jak krew ranionych kwitło ciało żołnierza. A wysoko, wysoko, rozłożyste jak dłonie rosły łopiany. One ocalały, ich pożar nie strawił.

Choć mury wokoło pękały z gorąca, trzaskały sinym popiołem, i w szczelinach załamywał się kolorowy płomień kwiaty wędły niezrywane. Ale jak orzechy zmiażdżone padały domy.

Szły do walki plutony, kompanie, wracało zaledwie paru żołnierzy. Pociski tryskały w fontanny gruzu; i płomień raz po raz w domy uderzał.

Nie było odwrotu, nie było białych chorągwi, a zaciśnięcie zębów, że wszystko na marne. Ciała poległych jak wał zagradzający drogę do ojczyzny, w popiół spalone leżały czarne.

A mówiono: nie wróć. Że pył ceglany oczy im przeżarł, powieki zniszczył. Trawa się zieleni na nawozach z popiołu, które wymiółł pożar. A mówiono: zamiast barwy — cienie.

I pozostały mury połamane, obrysowane w jesiennym wilgotnym niebie smuzka akwamaryny. Szara dłoń miasta, które wygasło ogniem i miłością.

CZESŁAW JANCZARSKI

WIERZ DLA SYNA

W stuku butów żołnierskich otwierano okna, i do pokoju wpływał świeży powiew nieba — po przemarszu każdej kompanii był przecinek. Ociekająca deszczem piosenka, mokra zwęzła się do ciszy, jak aleja.

W oczekiwaniu, wpatrzony w twój ból, że widziałem jego wyraźne kontury, trzymałem w zaciśniętych palcach słowo, które otworzył mi krzyk: urodził się synek! I spadło mi na serce jak wiersz, jak owoc!

Stopy moje stały się krokiem wielu żołnierskich stóp uczulem jak rosę w przestrzeni ogromnie, jak przepływa przeze mnie krew ziemi i nieba. Tak związany z minionym podałęm dłoń temu co nastąpi po mnie.

JÓZEF HERTEL

RĘCE MATKI

W te ręce żył siecią poszyte, Załamane smutkiem, co drża, W te ręce gorzkimi łzami zmyte Dziś tulę tęsknotę swą.

W te ręce wyschnięte, twarde, w ich palców splecioną koronę, W te ręce matki od pracy zdarte Sypię dziś kwiecie zroszone.

Ręce — matki — błogosławieństwo moje —
Złożone do Boga prosząco —
Rozpostarty puklerz na sny me i życia znoje —
Te ręce całują gorąco.

Cottbus 1942.

W następnym numerze:
Stanisław Nędza-Kubiniec
poemat o Janosiku

KAZIMIERZ TRUCHANOWSKI

SZALEŃSTWO

(Fragment z powieści „Zmowa Demiurgów“)

Tyle razy słyszy się niepoehlebną opinię o Radnych, sam o nich również nie jestem zbyt dobrego mniemania, lecz teraz rozumiem sens rady jednego z nich, kiedy mi radził, abym wiedzę o życiu czerpał u ludzi pracy, u chłopów i robotników, bo tylko tu jest ona zdrowa i posilna jak razowy chleb. Istotnie, jakżeż pięknie wygląda chłop dokonujący się. To nie wygląda na pracę, która ciąży na człowieku przekleństwem; to nie jest trud, który pożera organizm ludzki, pozostawiając z niego tylko strzępy, tylko niestrawne części i nieużyteczne, jak łachman cuchnący. Czuję żal do matki, że mnie wywiozła do miasta. Sądję, że się nie spodziewała, że wpadnę w sidła burmistrzowskie, że mi Ratusz zatruje życie. Jad miasta działa na mnie, jak narkotyk, czuję to wyraźnie. Jad ten gromadzi się w izbach Ratusza, jak ciężki, duszący opar, który spływa na miasto dławiąc i zatrzymując życie biednych jego mieszkańców, niewolników kamienia i bruków. Tylko ludzie od szeregu pokoleń będący mieszkańcami miast, jak ptaki zrodzone w klatkach, nie odczuwają braku powietrza, nie są wrażliwi na zgniliznę i nie reagują na jego czad — rozwijają się, jak plankton w zgnilej i cuchnącej wodzie. Nic dziwnego, że tu jak szczury legną się Burmistrzowie, których wyłączną domeną jest Ratusz, jego sprawy, jego intrygi, akta, ustawy i kodeksy lepkie od brudu, zatęchłe i przykryte warstwami kurzu. Jestem przekonany, że pan Adolf ze swoją ponurą duszą, pełną sprzeczności i żądz, wyhodował się i wzrósł na rojącym się od różnego rodzaju bakterii, zakwaszonym i rosnącym jak niedobre ciasto humusie miejskim. Te same cechy nosi i budownictwo miejskie, owe wieże Babel. One piętnują mieszczan piętnem tak charakterystycznym i trwałym, że usunąć je jest rzeczą prawie niemożliwą. Budownictwo miejskie ma ambicję do pięcia się wzwyz, do anemicznej wybujałości, lub schodzi w dół, do podziemi, jak szczury i robactwo. W mieście nie ma horyzontów, są tylko pion, pion do przesady, do jakiejś metafizycznej potęgi. Jakżeż straszną dla tych pionów, dla tych kominów i murów może być wojna. O, te niezdrowe ambicje! Dochodzi już nawet do tego, że zwraca się uwagę na budowę czaszki ludzkiej; wąska i wyciągnięta w górę ma cechować ludzi szlachetniejszej rasy; niska i szeroka kwalifikuje człowieka do rasy upośledzonych, do rasy niewolników. Zwraca się również uwagę na oczy, usta, nosy i uszy. Mówi się już nawet o przodującej roli nadczłowieka, którym ma być człowiek o ciasnej głowie. Najgorliwszym propagatorem tej idei jest pan Adolf, który twierdzi, że sam jest nadczłowiekiem i wmawia w niektórych obywateli, że skoro dojdzie do władzy również i ich podniesie do tej godności. Śmieszna, żenująca postać ludzka!

Rozglądam się wokoło i widzę jak ludzie z nie-dobrymi błyskami w oczach, ze skażonymi uśmiechami na ustach ze wszystkich ulic idą na plac. Jest ich mrowie. Chcę uciekać, lecz nie mogę, nogi odmawiają mi posłuszeństwa, czuję, jak skazaniec przed śmiercią, że

krew stanęła mi w żyłach. Na Boga! Co się stało?

Jakby w odpowiedzi tłum wybuchnął potwornym śmiechem.

— A — ha — ha — ha! — zaklaskały echa o wszystkie ściany kamienia otaczających plac. Tysiące, setki tysięcy rąk wzniosło się nad głowami tłumów z wyrazem dzikiego szalu i nienawiści.

— Do czego? Do kogo? Co się stało? — pytam z przerażeniem sam siebie, gdyż wszyscy co mnie otaczali byli zafascynowani niezwykłą manifestacją i nikt na mnie nie zwracał uwagi.

— Pan nie wie co się stało? — spytał mnie jakiś człowiek o niemiłym wyglądzie.

— Nie, nie nie wiem. Jestem tu po raz pierwszy — odpowiedziałem rozglądając się wokoło.

— Za chwilę pan zobaczy! Na stos pójdzie etiuda rewolucyjna — poinormował mnie z nieprzyjemnym uśmiechem na ustach. — Będzie pan miał piękne widowisko!

— Etiudę rewolucyjną?... — powtórzyłem jak echo, nie rozumiejąc jeszcze o co chodzi.

— Dlaczego pan się dziwi? Tak, tak, drogi panie, na stosie spalą pańską etiudę — popatrzył na mnie z niedobrym błyskiem w oczach.

— Ale dlaczego? Kto to robi? Kto wydał takie polecenie? — krzyknąłem.

— Jaktó! Nie wie pan dlaczego? To się pan dowie! My to robimy na polecenie pana Adolfa. Czy już pan wszystko rozumie?

— Ach, tak!? — wykrzyknąłem i rumieniec oburzenia wystąpił mi na policzki.

W tej chwili na balkonie ukazała się sylwetka jakiegoś mężczyzny. Po kroju munduru dobrze dopasowanego uczałem pana Adolfa.

Tłum ryknął i zakolysał się, jak zbalwanione morze.

Pan Adolf położył rękę do góry i jakiś czas stał wyciągnięty jak struna. Wśród tłumu zapanowało milczenie i w tym momencie na placu ukazał się piorospuszcz ciemnego dymu. Pan Adolf cofnął się z balkonu, znikając za czerwoną kotarą we drzwiach i niebawem ukazał się na dole wśród manifestujących tłumów. Porwano go na ręce i niesiono w stronę rozpalającego się stosu. Gdy stanęli obok ogniska, pan Adolf z szatańskim uśmiechem na ustach cisnął w płomień plik papieru. Tłum zakolysał się, zahuczał dziko i zatupał nogami z wielkiej radości.

— Brawo!... Brawo!... — jak na komendę ryknęli śmiechem mężczyźni i kobiety i uchwyciwszy się za ręce odtanńczyli wokoło ogniska obłąkańczy taniec.

Nadchodził wieczór; miasto zaczęło wienić się w łunie zachodzącego słońca, które wróżyło niepogodę i wiatr. Już nawet teraz dał coraz silniej, podrywając z ogniska spopielałe platy papieru, które fruwały nad głowami tłumu niby czarne ptaki lub nietoperze. Wznosiły się nad dachami kamienia coraz wyżej i wyżej, lecąc w daleki świat...

„Moje Pole“ Antoniego Olchy

Drukowany w poprzednim numerze „Wiś“ poemat Olchy jest pierwszym bodaj opublikowanym chłopskim utworem, o walorach artystycznych, którego tematem jest — REFORMA ROLNA. Na podobną aktualną, żywą, związaną z chwilą historyczną literaturę chłopską czekaliśmy próżno przez piętnaście miesięcy. Nie chcemy zato winić poetów — bo i piosenka, i liryka nie podążają natychmiast za świeżo dokonanym czynem — i nie piętnaście miesięcy, a parę lat i dłużej czekać musiały ważniejsze nawet wydarzenia historyczne, nim znalazłszy swój obraz w poezji. I czasy nasze nie są już czasami żywej i natężonej wiary, gdy zdarzenie przemawiało do wyobraźni ludowej z narzucającą się, natychmiastową, spontaniczną siłą i reakcją na nie wyładowywała się w bezpośredniej twórczości pieśniarza, lirnika, barda ludowego.

Niemniej żyła w nas i żyje tęsknota za poezją, któraaby potwierdziła lub zaprzeczyła naszym doznaniom z wojny i z okresu przemiany, który przeżywamy. Obraz tych czasów, odbity w twórczości, powinien nas ostatecznie z nimi pogodzić, ostatecznie nam je wytlumaczyć. Dlatego poemat Olchy przywołaliśmy, jako pierwszą jaskółkę realistycznej, współczesnej chłopskiej twórczości. Jest to pierwsza cecha, jaką odeina on się od tych pisarzy ludowych, którzy trawia jeszcze w sobie współczesność, a dają ciagle obraz chłopskiego życia, chłopskiego odczucia, chłopskiego liryzmu — ogólny, dawniejszy, wstrzemięśliwy w stosunku do aktualności.

Ale „Moje pole“ to nie tylko poemat faktu — to także poemat WALKI KLASOWEJ. Jest to już drugi u-

twór tego typu, — współczesny, aktualny poemat chłopskiej polityki i rewolucji, — obok POEMATU NOWO-SIELECKIEGO Józefa Ozgi — Michalskiego. Obydwa te utwory, wydrukowane i wyhodowane niejako na łamach „Wiś“, były przez nas przyjęte ze szczególną radością. Bo choć nikt z nas nie sądzi, że ma to być jedyny, wyłączny rodzaj przyszłej poezji chłopskiej, — przeciwnie, uważamy jej dotychczasową różnorodność, jej bogactwo od najbardziej osobistej liryki poczynszu, a na wielkiej okolicznościowej epice skończywszy — za cechę wysokiej wartości, której niszczyć nie wolno, — to jednak charakter nowych czasów, nowego okresu naszych dziejów wymaga i nowej poezji. I gdyby jej nie było, trzeba by osądzić, że pisarstwo nasze zasklepiło się, zamiast się rozszerzać. Nie jest tak na szczęście, i chłopskie siły kulturotwórcze są nie tylko różnorodne — ale i zawsze żywotne.

„Moje pole“ to poemat, noszący wszelkie cechy chłopskiego charakteru. Jest w nim wybuchowa i bezwzględna zawziętość, jest chłopska rzeczowość i dokładność patrzenia, jest chłopska nieczułość na nic, gdy idzie — O ZIEMIĘ. Ale po pierwszym brutalnym obrazie walki, po pierwszych słowach zawziętości nie widzącej świata poza „moim polem“ — potem, gdy zwycięstwo już osiągnięte, — rozwija się i rozszerza coraz bardziej serdeczny liryzm, ogarniający najpierw pole, potem rodzinę, a potem innych, dalszych ludzi. I tak spod pokrywy łapczywej twardości odsłania się zwołna wrażliwa, społeczna i sercowa w gruncie natura NOWEGO CHŁOPA.

Z. K.

FAKTY I ZDANIA

Norymberga

Cały świat patrzy na Norymbergę, gdzie od 20 listopada odbywa się proces przeciwko 24 głównym zbrodniarzom niemieckim.

Wszystkie czasopisma zamieszczają sprawozdania z przebiegu procesu. Każdego dnia dowiadujemy się coraz to nowych szczegółów zbrodniczej machiny hitlerowskiej, która miała zniszczyć Europę i cały świat.

Proces w Norymberdze ma nie tylko znaczenie jako akt sprawiedliwości, ale jest także poważnym zabezpieczeniem światowego pokoju.

Warto sobie przypomnieć, że po pierwszej wojnie światowej alianci mieli naprawdę zamiar postawić przed sądem Wilhelma II, Ludendorfa, Hindenburga, Bethmanna-Holwegena i innych, ostatecznie jednak zamiar nie został zrealizowany. Winowajcy schronili się bezpiecznie i bezkarnie w zacisze prywatnego życia albo co gorsza — niektórzy z nich jak Ludendorf i Hindenburg wrócili do czynnego życia politycznego, przygotowując w znacznej mierze naród niemiecki do drugiej wojny światowej.

Dla Niemiec więc druga wojna światowa była świadomym odnowieniem pierwszej. Wielu Niemców (może wszyscy?) myśli o trzeciej.

Każdy wie, że ostatnią wojnę wygrali Sprzymierzeni z daleko większym trudem niż poprzednią. Pamiętamy dni trwogi, kiedy Hitler był o krok od zwycięstwa, a groźba panowania Herrenvolku zawisła nad światem.

Każdy wie również, że terror stosowany przez Gestapo i SS w okupowanej Europie nie ma sobie podobnego ani w poprzedniej ani żadnej innej wojnie.

Proces w Norymberdze wskazuje więc na fakt, iż zrozumieliśmy tym razem potrzebę odpowiedzialności za zbrodnie popełnione na milionach europejczyków.

A co również ważne — będzie to decydująca przestroga dla marzących o jeszcze jednej wojnie światowej.

Nie przypadkowo wybrano Norymbergę na miejsce rozprawy. Tu przecież było główne siedlisko hitleryzmu, odbywały się zjazdy i mistyczne manifestacje, tu wyszły słynne ustawy norymberskie i uknuto większość zbrodniczych planów.

I dlatego w Norymberdze poniosą winowajcy odpowiedzialność.

Ludność żywi słuszną chyba nadzieję, że obok norymberskiego odbędzie się jeszcze inne procesy i, że tym razem żaden z winowajców nie ujdzie sprawiedliwości.

Dla nas ważne jest, aby winni za wszystkie popełnione w Polsce zbrodnie zostali ukarani.

Wierzymy, że przygotowany ostatnio polski akt oskarżenia będzie w Norymberdze odczytany, jako część składowa oskarżenia ogólnego.

w. l.

Powszechna demokracja

Na Jawie toczą się w dalszym ciągu ostre walki między Anglikami i Holendrami z jednej strony a Indonezyjczykami z drugiej. Dotychczasowe próby załatwienia sprawy drogą pertraktacji zawiodły.

Z oficjalnych wypowiedzi brytyjskich mężów stanu wynika, że powstańców traktuje się jako czynnych zwolenników idei „Wielkiej Azji”, pozostawionej Indonezyjczykom przez Japończyków. I dlatego Anglia zdecydowana jest powstanie stłumić, czego niebawem dzięki olbrzymiej przewadze dokona.

Wydaje się jednak, że walki mają inne podłoże. Gdyby bowiem Indonezyjczycy próbowali realizować „Wielką Azję”, zamieszkali wybuchliby i na Filipinach, gdzie Japończycy mogliby bez kłopotu zostawić tubylcom podobny testament. Tymczasem dowiadujemy się, że Stany Zjednoczone wprowadziły na Luzonie, Mindanao, Davao i innych wyspach Filipińskich daleko idące swobody i dlatego panuje tam spokój.

A w Indiach, Indochinach i na Jawie trwają zamieszki i żywe ruchy wolnościowe. Warto wiedzieć, że

Indiom Japończycy żadnej idei nie przekazali, a jednak od wielu lat utrzymuje się tam stan niepokoju.

Jawa jest jedną z najbogatszych wysp, ale bardzo dostojnie żyli tam tylko holenderscy koloniści, podczas gdy tubylcy cierpieli skrajną nędzę.

Poważna część opinii światowej skłania się ku przekonaniu, że ruchy wolnościowe na terenie Indonezji zmierzają jedynie do uzyskania autonomii. Ze strony przedstawicieli powstańców padły słowa o swobodach demokratycznych.

Istotnie, Przecież w tej wojnie szło o to, aby wszystkie narody duże i małe mogły o swoim losie bez przymusu decydować.

Anglia uważa się za głównego rzecznika demokracji. Niechże tego dowiedzie tam, gdzie w grę wchodzi jej osobiste interesy. Zobaczymy czy Indonezyjczycy otrzymają przynajmniej szeroka autonomię.

w. l.

Reka do zgody

Reakcyjne koła Europy z wielką radością śledzą i komentują stosunki polsko-czeskie. Pod sensacyjnymi tytułami o braku zgody wśród słowiańskich narodów przemycia się przypuszczenia, że sytuacja grozi wielkimi powikłaniami a nawet wybuchem zbrojnego zamachu.

Należy zaznaczyć w odpowiedzi na tego rodzaju domysły, że tak Polska, jak i Czechosłowacja zbyt długo okupili pokój i możliwość swobodnego rozwoju w ustroju demokratycznym, aby załatwiać swe spory inaczej niż w drodze wzajemnych ustępstw. Przykładem takiego rozsądnego postępowania jest przedstawiona przez rząd polski w dniu 5 listopada 1945 r. propozycja skierowana do ministra spraw zagr. Czechosłowacji Jana Masaryka. Czytamy w niej między innymi:

Demokratyczna Polska ocenia należycie wagę przyjaźni bratniej Czechosłowacji, jest świadoma tego, iż gospodarcza siła Republiki Czechosłowackiej jest rekoimja również bezpieczeństw naszego kraju i zdaje sobie sprawę z tych niebezpieczeństw, jakie pociąga za sobą przedłużenie się sporów, które nie leżąc w interesie naszych państw, mogą być tylko wyzyskiwane przez czynniki reakcyjne, wrogo pokojowemu współżyciu narodów. Mimo, iż w ostatnich czasach zaszły drażniące wypadki i właśnie dlatego, że wzajemne stosunki w tym czasie uległy wyraźnemu pogorszeniu, Rząd Rzeczypospolitej Polskiej zwraca się do Rządu Republiki Czechosłowackiej z propozycją wspólnego rozpatrzenia całokształtu zagadnień granicznych, politycznych, gospodarczych, kulturalnych i innych.

Równocześnie z opublikowaniem powyższej noty domaga się, że Premier E. Osóbka-Morawski odbył drugą i serdeczną rozmowę z czechską delegacją socjalistów, a organ PPS „Robotnik” zamieścił w czołowym artykule oświadczenie przewodniczącego tej delegacji.

Powiedział on:

— „My, socjaliści czescy, ubolewamy, że stosunki między Polską a Czechosłowacją nie są ciągle takie, jak powinny być. My wiemy, że socjaliści i lewicowcy polscy są zwolennikami przyjaźni polsko-czeskiej. Toteż zrobimy wszystko, by wspólnym wysiłkiem doprowadzić do pełnego porozumienia”.

Mimo, że wypowiedź ta nie jest jeszcze oficjalną odpowiedzią na notę polską, należy się spodziewać, że rząd Czechosłowacji oceni w pełni dobrą wolę Polki do uregulowania wzajemnych stosunków i, że już w najbliższej przyszłości sprawy między obu narodami zostaną definitywnie załatwione w duchu przyjaźni i wzajemnego zrozumienia istotnych interesów.

Z. S.

SPROSTOWANIE

W poprzednim (18-ym) N-rze „Wsi” pominięte zostało objaśnienie przy artykule dr. Józefa Spytkowskiego „Maciej Szarek”, że stanowi on drugą część i zarazem dokonanie pracy, drukowanej w 11 N-rze „Wsi” p. t. „Maciej Szarek, nestor pisarzy chłopskich”. Podobnie „Pamiętnik chłopca pańszczyźnianego” Szarka (Nr. 18) jest dokonaniem z N-rów 10, 11, 12, 14 „Wsi”.

Powroty

Historia żołnierza polskiego ostatniej wojny przypomina tufaczkę legionistów Dąbrowskiego.

Jak tamci przez austriacką granicę tak wielu bohaterów walk w Szampanii, Norwegii, Afryce i Włoszech przekradało się przez Karpaty zdążając na wielkie pola bitew o wolność wszystkich ludów.

Szarża pod Samosierra uderzyła drogę wojskom francuskim do wnętrza Hiszpanii. Zdobyte Monte Cassino pozwoliło opanować najcienniejszą część Włoch.

Na długich drogach prowadzących do Ojczyzny śpiewano te same piosenki, choć inne były ich słowa.

„Co mi tam troski, kolego, idziemy przez kontynenty, Lecz nasze eskadry, płyną nasze okręty. My pokażemy światu, że Polska jesteśmy walcu Byleby but był mocny, byle karabin w garści”.

Jest jeszcze czas powrotów z dalekich szlaków bitewnych. Przed kilku dniami wrócili nasi żołnierze „z ziemi włoskiej do polskiej”. Wrócili bez broni, która zasłaniała Brytyjskie Imperium w najtrudniejszych chwilach.

Fakt takiego powrotu musi budzić uczucie gorczy.

Żołnierze nasi ze Związku Radzieckiego wrócili do kraju doskonale wyekwipowani, z ciężkim sprzętem i lotnictwem. I nikt tam nie pytał o zapłatę, bo pamiętano Lenino. Oke i wszystkie walki na przestrzeni setek kilometrów aż do Odrzy.

Czyżby Narwik, olbrzymi wkład naszego lotnictwa do zwycięskiej bitwy o Wielką Brytanię, boje Brygady Karpackiej w Afryce, ofiara spod Monte Cassino, niezmierzone rejsy naszej marynarki wojennej i handlowej w najwęższych służbach — stanowiły za małą wyplatę za uzbrojenie dla zachodnich sprzymierzeńców?

Trudne do uwierzenia.

w. l.

OD REDAKCJI

Podajemy do wiadomości Czytelników, że numer „Wsi” z dnia 1 grudnia br. nie ukazał się z przyczyn technicznych od nas niezależnych.

Przy okazji przypominamy, że należy wyrównać zaległości prenumeraty za ostatni kwartał 45 r. oraz wpłacić prenumeratę za I kwartał 46 r.

Najlepszą gwarancją stałego otrzymywania pisma jest uregulowana prenumerata.

NUMER 18 „Wsi” ZAWIERAŁ:

WIESŁAW JAŹDZIŃSKI: Zarówka pod strzechą, ANTONI OLCHA: Moje pole, JAN WIKTOR: Wspomnienie o strajku chłopskim, MARIAN KUBICKI: Noc, WINCENTY WITOS: O Janie Wiktorze, MACIEJ SZAREK: Pamiętnik chłopca pańszczyźnianego, MACIEJ CZUŁA: List od sąsiada Macieja Szarka, JÓZEF SPYTKOWSKI: Maciej Szarek, ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI: Spór o poemat Ozgi Michalskiego, KLEMENS OLEKSIK: Powitanie domu i Mojej matce, BRANISIAW MAJTCHAK: W polu i Pieśń wieku, MIECZYSLAWA BUCZKOWNA: Podmuch jesieni i Wrzesień, ROMAN BRATNY: O ideologiczną przemianę, JANINA SOBIESZEK: Nagroda, poza tym „Fakty i zdania” oraz ogłoszenia.

MATERIAŁY W REDAKCJI

MARIAN PIECHAŁ nadesłał szkic literacki pt.: „SĄDY NAD ŻEROMSKIM”. JAN SZTAUDYNGER nadesłał szkic krytyczny pt.: „O JANIE WIKTORZE”. LEON SOBOCINSKI nadesłał fragmenty pamiętnika. MIECZYSLAW RYTARD nadesłał szkice literackie o poezji jugosłowiańskiej.

WARUNKI PRENUMERATY:

Numer pojedynczy 5 zł
Miesięcznie 18 zł
Kwartalnie (za 13 numerów) 52 zł
Półrocznie (za 26 numerów) 95 zł

Wpłacać należy na adres:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Dział prenumerat, Łódź, Piotrkowska Nr 62 (z zastrzeżeniem „na tyg. „Wieś”).

REDAKTOR NACZELNY — Jan Aleksander Król.

KOMITET REDAKCYJNY: Frasiak Andrzej, Nędra Kubiniec, Kubisz Paweł, Kubicki Marian, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Olcha Antoni, Pięta Stanisław.

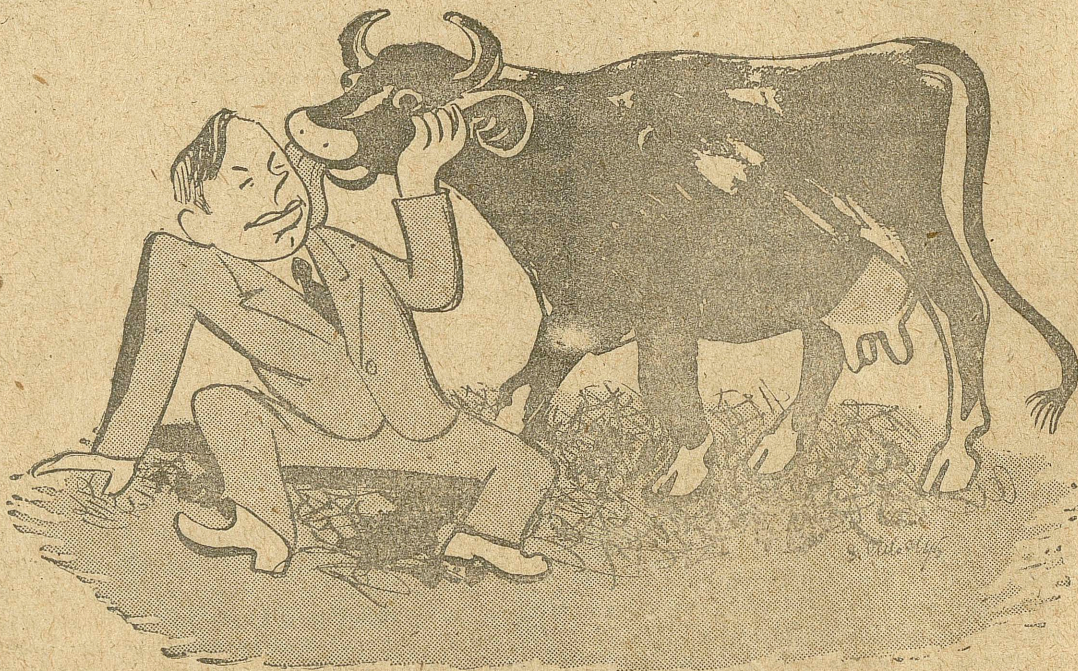
Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96.

Drukarnia: Łódź, Żwirki 2.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wyd. „Czytelnik”.

D-06504

Poezja Piętaka w obrazach



Rys. Stanisław Cieloch

Nasz karykaturzysta, przeczytawszy w Nr 16 „Wsi” wiersz Stanisława Piętaka „Noc letnia”, postanowił go zilustrować:

„Lubię patrzeć na naszą Czarną, co zawsze, gdy mi zimno, gorącym językiem liże mi błąd twarz”.